

Sandra Field

Milioner i artystka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Najgorsze, myślała potem Jenessa Strathern, że nic jej nie ostrzegło, kiedy zadzwonił telefon tamtego pogodnego majowego wieczoru. Nic nie kazało jej zignorować dzwonka, nie podpowiedziało, by uciekła z domu i ukryła się wśród hortensji. To tyle, jeśli chodzi o kobiecą intuicję.

Właśnie skończyła pracę, bo światło słabło, a kończyła już obraz i nie chciała ryzykować błędów. Starła plamy szkarłatu alizarynowego z palców poplamioną szmatką i podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Cześć, Jen – odezwał się głos jej brata. – Masz chwilę?

Uśmiechnęła się i opadła na najbliższe krzesło. Travis Strathern, starszy od niej o sześć lat, mieszkał w Maine z żoną Julie i trzytygodniową córeczką Samanthą.

– Jasne – zapewniła. – Co u ciebie? Czy raczej co u Samanthy?

– Chcesz powiedzieć, że ja się nie liczę?

– Ona jest miłsza.

– Fakt. Wiesz, że potrafi mnie trzymać za palec i uśmiechać się równocześnie? Niewiarygodne, co?

Travis był lekarzem z całym mnóstwem tytułów, specjalistą od chorób tropikalnych.

– Właśnie z jej powodu dzwonię. Za trzy tygodnie

wyprawiamy chrzciny i chcemy, żebyś została matką chrzestną.

– To słodkie – odparła Jenessa wzruszona. – Ale wiesz, że zupełnie się nie znam na niemowlętach? W szpitalu bałam się wziąć Samanthę na ręce.

– Nauczysz się – zapewnił brat. – Zresztą szybko urośnie. Więc przyjedziesz?

Jenessa zawahała się.

– Gdzie wyprawiacie uroczystość?

– Wiedziałem, że spytasz. W Manatuck, u taty i Corinne. Ale przyjeźdź, Jen... najwyższy czas zakopać topór wojenny, nie sądzisz?

Powinna się zgodzić i nie ranić uczuć Trávisa. W dzieciństwie go uwielbiała, teraz – kochała i szanowała zarazem. Poza tym wiele mu zawdzięczała i naprawdę lubiła Samanthę. Co z tego, że chrzciny będą na wyspie Manatuck? Przez parę godzin z pewnością da radę traktować przyzwoicie Charlesa Stratherna, nawet jeśli zwykle unika go jak zarazy.

Lecz gdy otwierała usta, by się zgodzić, brat dodał:

– Jest jeszcze jeden powód, żebyś przyjechała. Na ojca chrzestnego zaprosiliśmy Bryce'a Laribee, mojego kumpla ze szkoły. Pamiętasz go?

Kolory odplynęły z twarzy Jenessy, serce zaczęło jej walić jak młotem. Mruknęła coś niewyraźnie, zaciskając palce na gładkim plastiku. Travis, nieświadomy jej reakcji, mówił dalej:

– Chyba nigdy się nie poznaliście, chociaż przyjaźnimy się od dzieciństwa. Świetny facet, na pewno go polubisz.

Travis się mylił: Jenessa poznała Bryce'a. Kiedyś,

wiele lat temu. A uczucie, jakim go darzyła, trudno byłoby nazwać sympatią.

O tym nie zamierzała jednak mówić bratu. Niektóre sprawy lepiej trzymać w tajemnicy, a wieczór w łóżku z Bryce'em Laribee z pewnością do takich należał. Musiała więc skłamać. Nie zamierzała nigdy więcej oglądać Bryce'a, lecz o tym również nie mogła powiedzieć Travisowi.

– Jen? Jesteś tam?

Rozpaczliwie zebrała myśli. Musi się jakoś z tego wyplątać.

– Travis, strasznie mi przykro... – zaczęła najbardziej przekonującym tonem – ale nie dam rady. Do Maine jest kawał drogi, a ja mam w Bostonie wernisaż na początku czerwca. W Morden Gallery, więc wiesz, co to znaczy.

– U Mordena? Robisz karierę.

Nie była tego taka pewna, lecz odparła tylko:

– Chcą mieć dwadzieścia obrazów. Jeśli pojedę do Maine, stracę trzy czy cztery dni, a na to nie mogę sobie pozwolić.

Zapadła cisza, po czym Travis odezwał się tonem, który rzadko u niego słyszała:

– Nie bujasz, siostrze? Na pewno nie chodzi o Charlesa? Wiesz, że bym to zrozumiał, trudno go nazwać idealnym ojcem.

– Na pewno – odparła szybko, zadowolona, że może powiedzieć prawdę. – Dwanaście lat pracowałam na taką szansę jak ta wystawa i nie chcę jej stracić.

Bryce'a poznała także przed dwunastoma laty, na pierwszym roku w Columbia School of the Arts, przypomniała sobie z nagłym dreszczem. Miała wtedy siedem-

naście lat. Z wypraktykowaną łatwością odsunęła od siebie myśli o tamtym spotkaniu i jego konsekwencjach.

– Wiesz, jak bardzo lubię Samanthę, a to najważniejsze, prawda?

– Julie będzie rozczarowana. Na naszym ślubie też się nie zjawiłaś.

Bryce pełnił wtedy honory drużby. Przeklinając dzień, kiedy zobaczyła w Columbii zaproszenie na jego wykład, zapewniła:

– Obiecuję, że po wernisażu przyjadę was odwiedzić. To znaczy, jeśli nie zerwiecie ze mną stosunków.

– Daj spokój, wiesz, że tego nie zrobimy. A może opłacę ci bilet na samolot? W ten sposób załatwiłabyś wszystko w ciągu jednego dnia.

– Jestem wam już winna zbyt wiele pieniędzy. Nie ma mowy.

– To prezent, Jen. Bez żadnych zobowiązań.

– Nie mogę, Travis. Po prostu nie mogę.

Zapadła długa cisza.

– W takim razie musisz przyjąć tytuł matki chrzestnej *in absentia*. Bo nie chcemy nikogo innego – stwierdził Travis.

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Matka Jenessy uciekła do Francji wkrótce po jej urodzeniu, a ojciec robił, co w jego mocy, by wykorzystać u córki niezależność. Równocześnie faworyzował jej brata bliźniaka, Brenta. Do dziś dnia Jenessa i Brent byli sobie niemal obcy. Jedyne oparcie znajdowała w Travisie, więc cierpiała, że musi go teraz zawieść.

Lecz wtedy, w pokoju hotelowym, Bryce upokorzył ją

jak nikt w życiu. Nie ma mowy, by stanęła z nim twarzą w twarz.

– Samantha dużo przybrała na wadze? A Julie nie zarywa nocy?

Travis zaczął opowiadać. Jenessa opisała mu ze swej strony szczegóły kontraktu z galerią; z ulgą odkładała słuchawkę.

Kolejny raz uniknęła spotkania z Bryce'em Larabee, lecz cena była wysoka: w głębi czuła narastający gniew. Na niego? Czy na tę młodą kobietę, którą była dwanaście lat temu – tak wrażliwą i tak bardzo podatną na zranienie?

Późnym popołudniem następnego dnia pracowała w warzywniku. Ukryty na tyłach jej niewielkiego domu, stanowił spokojne miejsce, skąpane w słońcu i pełne brzęczenia pszczół. Wiatr szeleścił wśród wysokich kłonów wyznaczających granice jej posiadłości.

Rano skończyła obraz. Był doskonały technicznie, podobnie jak wszystkie – słoneczna scena, kryjąca w sobie atmosferę nieokreślonego zagrożenia.

Tej nocy spała źle, śniąc o dzieciach krzyczących na klifach Manatuck i bracie odwracającym się do niej plecami w pustej galerii. I, naturalnie, o Brysie. Gdyby tylko nie zauważyła tamtego zaproszenia na wykład...

Pierwsze rzuciło się jej w oczy nazwisko: Bryce Larabee. Najlepszy przyjaciel jej uwielbianego brata, geniusz komputerowy, który dorobił się milionów. Tytuł wykładu niewiele jej mówił – coś o programowaniu; za to jego zdjęcie sprawiło, że stanęła jak wryta. Gęste blond włosy, szare przeszywające oczy, wyraziste rysy. Palce aż ją

swędziały, żeby naszkicować ten zdecydowany podbródek, mocno zarysowane szczęki i szerokie kości policzkowe.

Nieprzystępna twarz przyciągała ją jak magnes; instynkt malarki podszeptował, że musi go zobaczyć w naturze. Portret olejny, pomyślała nagle. Głowa i ramiona. Chociaż niewiele miała doświadczenia w tej technice, była prawie pewna, że jej się uda.

Nagle uświadomiła sobie, że gapi się na zdjęcie niczym zakochana nastolatka. Następnego dnia, nic nikomu nie mówiąc, poszła na wykład i zajęła miejsce daleko w głębi, skąd mogła go obserwować, sama nie będąc widziana. Stał w pełnym świetle przy pulpicie; wyglądał znacznie lepiej niż na fotografii.

Musiała go przynajmniej naszkicować. Musiała.

Lecz pociągał ją nie tylko jego wygląd. Jego dźwięczny baryton sprawiał, że dreszcz przebiegał jej po plecach; bawiło ją jego poczucie humoru, a obrazowe porównania sprawiały, że niemal rozumiała, o czym mówi. Po wykładzie odbywało się skromne przyjęcie. Ukryła się w tłumie i czekała, aż zrobi się luźniej. Od pierwszej chwili postanowiła nie przyznawać się, że jest siostrą Trávisa: gdyby mężczyzna wiedział, że Jenessa ma dopiero siedemnaście lat, nie traktowałby jej poważnie.

Kiedy Bryce podszedł do baru po kolejnego drinka, zbliżyła się i choć serce biło jej mocno, rzuciła z pozorną swobodą:

– Nazywam się Jan Struthers, studiuje malarstwo. Mogę panu postawić następnego drinka? Chciałam pana naszkicować.

Zmierzył ją nieprzeniknionym spojrzeniem. Przełknę-

ła z trudem ślinę. Lecz było już za późno, by się wycofać, a ona nigdy nie należała do tchórzy.

Przyjrzał się jej bez pośpiechu. Wiedziała, co widzi: postawione na żel włosy o końcach zafarbowanych na pomarańczowo, ostry makijaż, fioletowe szkła kontaktowe i wyzywający skórzany strój, sugerujący większe doświadczenie w sprawach seksu, niż w rzeczywistości posiadała. Pierwszy raz pożałowała, że tak bardzo uległa modzie. Powinna była się ubrać bardziej konwencjonalnie. Jakby na potwierdzenie Bryce uśmiechnął się rozbawiony.

– Sama wyglądasz jak dzieło sztuki.

Spojrzała znacząco na jego szyty na miarę garnitur i idealnie dobrany krawat.

– Pan włożył swój mundurek, a ja swój.

– Twój jest zabawniejszy.

– Oba ukrywają, kim jesteśmy naprawdę.

– Więc jesteśmy do siebie podobni?

Zagryzła wargę, nie wiedząc, do czego on zmierza.

– Tego nie powiedziałam.

– A jaką konkretnie część mnie chciałabyś naszkicować?

Zarumieniła się i natychmiast poczuła gniew.

– Dobry artysta idzie za głosem instynktu – rzuciła lekko.

– Pozostaje otwarty na okoliczności?

– Właśnie.

Błysk w jego oczach sprawił, że zmiękły jej kolana. Choć była jeszcze dziewicą – rzadkość wśród studentek – świetnie zdawała sobie sprawę, do czego zmierza rozmowa.

– Muszę się pożegnać z organizatorami – odparł.
– Możesz poczekać parę minut?

– Zatemperuję ołówki – rzuciła beczelnie.

Roześmiał się, błyskając zębami.

– Zaraz wracam – obiecał.

Dopiła duszkiem wino. Zasugeruje kawę w jakiejś restauracji albo barze, wśród innych ludzi. Będzie bezpieczna.

Nie czuła się bezpieczna. Widziała w wyobraźni każdy szczegół jego twarzy: ciemne źrenice, stanowczą linię szczęki, pełne, zmysłowe usta. Górował nad nią wzrostem, sprawiając, że czuła się krucha i kobieca. Co się ze mną dzieje? – pomyślała bezradnie.

W tym momencie Bryce ruszył w jej stronę i nagle zdała sobie sprawę, że powinna uciekać gdzie pieprz rośnie. Nigdy nie będzie bezpieczna w jego towarzystwie.

Lecz zaledwie parę miesięcy wcześniej uciekła z domu, idąc za głosem instynktu, który kazał jej samej wykuwać swój los. Czemu miałyby teraz unikać ryzyka? Opanowała się i spytała:

– Jest pan gotów?

– Mam wynajęty samochód. Chodźmy.

– Nie obawia się pan, że zobaczą nas wychodzących razem?

Uniósł brwi.

– Nie obchodzi mnie, co myślą inni.

Ujął ją pod ramię; poczuła fale gorąca rozchodzące się od jego dłoni po całym jej ciele.

– Dokąd pójdziemy? – spytała niepewnie. – Może do jakiegoś baru, pod warunkiem że nie będzie tam zbyt ciemno.

- Sądziłem, że pojedziemy do mojego hotelu – odparł.
- W ten sposób nikt nam nie będzie przeszkadzał.
- Chcę pana narysować, to wszystko!
- Naprawdę, Jan?

Znajdowali się na pustym korytarzu; uniósł rękę i delikatnie przesunął palcami po jej wargach, po aksamitnym podbródku. Otworzyła szerzej oczy, kiedy każdy nerw w jej ciele przebudził się do życia.

– Pod tą tapetą jesteś zdumiewająco ładna – powiedział cicho.

On naprawdę tak myśli, uświadomiła sobie. To wykraczało daleko poza flirt. Pragnął jej. Bryce Larabee, geniusz i milioner, pragnął jej, Jenessy Strathern, siedemnastoletniej dziewczyny.

Uciekaj, Jenessa.

– Zostawiłam szkicownik w sali – powiedziała szybko.

Roześmiał się.

– Muszę przyznać, że takiej wymówki jeszcze nie słyszałem.

Więc sądził, że kłamała od samego początku... jak on śmie?

– Opowiedz mi o sobie – ciągnął tymczasem.

Z energią, która ją zaskoczyła, odpowiedziała:

– Chcę malować to, co dla mnie ważne. Iść za głosem własnego instynktu, mojego wnętrza. Nieważne, jeśli to niemodne i się nie spodoba.

Umilkła nagle, żałując, że się w ogóle odezwała.

– Interesujące – stwierdził. – Stosujesz te same zasady w życiu uczuciowym?

Nie miała żadnego życia uczuciowego – do dnia gdy

poznała najlepszego przyjaciela swojego brata. Bryce stał stanowczo zbyt blisko. A może oszukiwała samą siebie, wmawiając sobie, że chodzi jej o obraz? Może naprawdę chodziło o seks? Zaschło jej w ustach.

– Myślę, że zapragnęłam cię w chwili, kiedy zobaczyłam twoje zdjęcie.

– Jestem bardzo bogaty – rzucił ironicznie.

Oburzona, cofnęła się o krok.

– Nie chodzi mi o twoje pieniądze! Nawet o nich nie pomyślałam.

Długą chwilę przyglądał się jej zwięzonymi oczami.

– Nie kłamiesz.

Przyjechała winda; drzwi się rozsunęły.

– Zdziwiłabyś się, jak wiele kobiet widzi tylko moje pieniądze.

– Ja do nich nie należę – odparła nieustępliwie.

– W takim razie przepraszam.

– Naprawdę? – spytała. – Czy tylko tak mówisz?

– Jakie to ma znaczenie? To ma być przygoda na jeden wieczór, a nie związek na resztę życia – odparł z irytacją.

Przygoda na jeden wieczór. Jakże tanio to zabrzmiało.

– Nigdzie z tobą nie idę – rzuciła gniewnie. – Naprawdę chciałam cię narysować... to nie był podryw.

– Przeprosiłem. – Ujął ją za ramię i wyprowadził z windy. – Czego chcesz więcej?

Z nagłą niecierpliwością objął ją, przycisnął do siebie i pocałował. Jego pragnienie, bezwzględne i władcze, sprawiło, że jej gniew gdzieś zniknął, zastąpiony przez zupełnie nowe dla niej odczucie – pierwotną namiętność. Zatonęła w niej, przywarła do mężczyzny całym ciałem,

odwzajemniając pieśczętę. Z mieszaniną zaskoczenia i rozkoszy uświadomiła sobie, że pragnie dać mu to, czego on od niej żąda.

Bryce wypuścił ją nagle i mruknął:

– Samochód czeka. Chodźmy.

Jenessa chwiejnie podążyła za nim, czując, że ten jeden pocałunek nauczył ją więcej o władzy, jaką ma nad nią ten mężczyzna, niż mogłaby sobie wyobrazić. Oszołomiona, oczarowana, porwana namiętnością. Jeszcze dziesięć minut temu nie uwierzyłaby, że coś takiego jest możliwe.

Bryce otworzył jej drzwi srebrnego mercedesa i bez słowa wyjechał z parkingu. Zręcznie manewrując w ruchu ulicznym, jak gdyby nigdy nic podjął rozmowę:

– Jest coś, co powinnaś wiedzieć. Jutro rano lecę na wschodnie wybrzeże, a potem do Singapuru. Nie angażuję się uczuciowo i zawsze używam zabezpieczenia.

Coś w tonie jego głosu rozzłościło Jenessę.

– Celowo starasz się być nieromantyczny?

– Wyjaśniam, jak się sprawy mają. Jeśli ci się nie podoba, możesz się jeszcze wycofać. Postawię ci drinka i rozstaniemy się bez urazy.

Mimochodem podsunął jej wymówkę pozwalającą wybrnąć z sytuacji. Potem jednak przypomniała sobie pocałunek, który obudził w niej kobietę świadomą własnej mocy. Jak mogłaby od tego uciekać?

– Bezpieczeństwo to moja pierwsza zasada – rzuciła lekko tylko drżącym głosem.

– Doskonale. A druga?

Tym razem nie musiała kłamać.

– Że nikt, absolutnie nikt, nie ma prawa kontrolować mojego życia.

– Więc nadajemy na podobnych falach.

Wyprostowała się na fotelu, starając się opanować dreszcze. Próbowwała przekonać samą siebie, że uda się jej chociaż w pewnym stopniu kontrolować to, co nastąpi w pokoju hotelowym Bryce'a. A jeśli się myli?

ROZDZIAŁ DRUGI

Drgnęła nerwowo na dźwięk klaksonu. W pracowni polegała w pełni na intuicji. A intuicja podpowiadała jej, że najbliższych parę godzin zmieni jej życie na zawsze.

Właśnie wybiera się do łóżka z najlepszym przyjacielem własnego brata. Szalony pomysł. Lecz nigdy wcześniej nie czuła równie silnego, bezwzględного pożądanía. Pozwoli się uwieść Bryce'owi, a potem odejdzie. Gdyby kiedykolwiek odkrył, że spał z siostrą Trávisa, z pewnością się do tego nie przyzna. Pod tym względem przynajmniej była bezpieczna. Poza tym znacznie lepiej stracić dziewictwo z doświadczonym mężczyzną, o którym wiele słyszała, niż z jakimś niezdarnym kolegą z roku.

– Wrócę taksówką – rzuciła swobodnie.

Nie odrywając oczu od ulicy, spytał:

– Ile masz lat, Jan?

– Dwadzieścia jeden.

– Kończysz studia w przyszłym roku?

– Nie... później zaczęłam.

– Nie potrafię cię przejrzeć – rzucił niecierpliwie.

– Zwykle czytam w kobietach jak w otwartej księdze. Ale nie w tobie. Jesteś tajemnicza, nieodgadniona. – Skrzywił się. – Za parę miesięcy będę w Nowym Jorku. Dasz mi swój numer telefonu?

– Nie.

Odpowiedź, jak wszystkie jej reakcje tego wieczoru, była instynktowna.

– Naprawdę lubisz mieć kontrolę.

Podniecona samą jego obecnością, rzuciła prowokacyjnie:

– A nie powinnam?

Zdjął rękę z kierownicy i położył jej na udzie.

– Mam nadzieję, że żadne z nas nie będzie tego żałować.

– Nie ma powodu – powiedziała w równym stopniu do niego jak do siebie.

Dziesięć minut później wprowadził ją przez dwuskrzydłowe drzwi do swego apartamentu w jednym z najdroższych hoteli w mieście.

– Chcesz coś do jedzenia albo do picia? – spytał z tłumioną niecierpliwością.

Odwaga, która nie raz ratowała ją w dzieciństwie, i tym razem przysłała jej z pomocą. Jenessa zsunęła buty i pocałowała go, stając na palcach.

– Ciebie i ciebie – szepnęła.

Wziął ją na ręce i poniósł przez bogato umeblowany salon. Czowała dotyk jego napiętych mięśni, bicie jego serca, budzące w niej pragnienie. Otworzył drzwi sypialni, podszedł do łóżka i położył ją delikatnie. Potem zaczął się rozbierać.

Jenessa zafascynowana obserwowała, jak zdejmuje krawat, marynarkę i koszulę. Kiedy został jedynie w czarnych bokserkach, powiedział cicho:

– Kolej na ciebie, Jan.

Jan, pomyślała. Inna, nieistniejąca kobieta. Tak bardzo pragnęła być teraz sobą.

Rozpięła czarną kurtkę, zdjęła obcisły sweterek i spódniczkę, przyglądając mu się wyzywająco, zsunęła pończochy.

– Ty zdejmij resztę – rzuciła cicho.

Przez chwilę pieścił spojrzeniem jej ciało.

– Jesteś taka piękna...

Wyciągnęła do niego ramiona. Położył się obok, rozpiął jej biustonosz i zaczął pieścić piersi. Westchnęła z rozkoszy. Objął ją w pasie i przycisnął do siebie, po czym zaczął całować, gładząc równocześnie jej ciało. Czuła, jakby każdy nerw topniał z rozkoszy. Przywarła do niego mocniej. Zawołała jego imię, poruszając się pod nim, zatracając się w rytmie, który był czystą namiętnością.

Bryce sięgnął po paczuszkę leżącą obok łóżka.

– Poczekaj chwilę...

Czekam na ciebie od zawsze, pomyślała; czekała na miłość, która odkryje w niej pokłady pożądania, o jakim tylko marzyła. Objęła go udami. Poczwała, jak w nią wchodzi, a potem lekki opór i nagły ból. Drgnęła mimo woli. Bryce odsunął się od niej z gwałtownością, która ją przestraszyła.

– Jesteś dziewicą – rzucił ostro.

Wydawał się przerażony.

– Nie robiłaś tego jeszcze nigdy?

– A co to za różnica?

– Mówiłaś, że masz doświadczenie.

– Nie mówiłam!

– Takie sprawiałaś wrażenie. Nie sypiam z dziewczynami, to nie w moim stylu. Sypiam z kobietami, które wiedzą, co i jak.

Jenessie zrobiło się nagle zimno; zadrżała jak zmokły kociak.

– Pragnąłeś mnie, nie możesz temu zaprzeczyć. Proszę... czekałam cały semestr, żeby spotkać kogoś takiego jak ty. Chcę, żebyś to był ty...

Wstał z łóżka i zaczął zbierać rzeczy.

– Ubieraj się. Odwiozę cię do domu.

Poszedł do łazienki; drzwi zamknęły się za nim ze stanowczym szczęknięciem. Jenessa podniosła się wolno.

Wszystko skończone. Już jej nie chce.

Drżącymi z pośpiechu palcami włożyła poszczególne części stroju. Koronkowa bielizna szydziła z niej, tak samo obcisły sweter i króciutka spódniczka. Nie nadaje się nawet na kochankę. Śmiechu warta kobieta.

Dopinała zamek przy spódnicy, kiedy Bryce wszedł do sypialni całkowicie ubrany.

– Więc o co chodziło naprawdę? – spytał zimno.
– Planowałaś szantaż? Milioner gwałci dziewczę?

Zbladła. Zachowywał się jak jej ojciec, zawsze oskarżający ją o najgorsze intencje. Czy wszyscy mężczyźni są tacy? Co powinna zrobić, wybuchnąć łzami?

Nie zamierzała przed nim płakać.

– Może tak postępują inne twoje kobiety – odcięła się.

– Więc czemu to zrobiłaś?

– Skoro nie rozumiesz, nie ma sensu wyjaśniać – burknęła, wkładając ręce do kieszeni. – Nigdy więcej o mnie nie usłyszysz. Żegnaj, Bryce. To było bardzo pouczające.

– Fakt. Więc ile naprawdę masz lat?

Uniosła podbródek i spojrzała wyzywająco.

– Siedemnaście.

– Siedemnaście? A ja wierzyłem w każde twoje słowo... Powinnaś być aktorką, nie malarką.

– Jeśli sądzisz, że będę tu sterczeć całą noc, wysłuchując twoich mądrości, to się mylisz.

Złapał ją za łokieć.

– Powiedziałem, że cię odwiozę.

– Będę kopać i wrzeszczeć całą drogę. Tego chcesz?

– Ty mała diablico – mruknął z niechętnym podziwem. – Zrobiłabyś tak, prawda? Masz pieniądze na taksówkę?

– Nie ty jeden na świecie jesteś bogaty.

– To prawda, że zachowujesz się jak rozpieszczony bachor z bogatego domu.

Nie mógłby jej bardziej zranić: kiedy była mała, ojciec nazywał ją tak w gniewie. Odpowiedziała spokojnie, wiedząc, że musi się stąd jakoś wydostać:

– Trzymaj się swojej ligi, Bryce: kobiet, które nie stanowią dla ciebie wyzwania.

– Nie ty mnie będziesz pouczać.

Lęk niczym lodowata woda spływał jej po kręgosłupie. Z wysoko uniesioną głową minęła go i wyszła z sypialni, nasłuchując z napiętymi nerwami, czy za nią nie pójdzie. Salon wydawał się nie mieć końca, zielony dywan był wielki jak boisko. Wreszcie drzwi wejściowe zamknęły się za nią.

Zjechała windą do holu i pozwoliła sobie wezwać taksówkę. Dopiero kiedy znalazła się w swoim wynajętym pokoiku w zupełnie innej części miasta i zamknęła drzwi na łańcuch, odsunęła dumę na bok i rozplakała się z poniżenia i bólu.

Wolno wróciła do terażniejszości. Drozd pogwizdywał wśród sosen u sąsiada; srebrzyste nuty niosły się w powietrzu. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wyrwała cały rząd zielonej fasoli. Od tamtych wydarzeń minęło dwanaście lat, lecz rana była tak świeża, jakby spotkało ją to wczoraj.

Podniosła się z miejsca, zebrała zwiędłe chwasty do wiadra i wyrzuciła je na kompost. Majowe słońce grzało mocno. Powinna była włożyć szorty i podkoszulek, zamiast tych workowatych spodni i koszuli.

Rozejrzała się dokoła, próbując się podnieść na duchu. Niewielki dom, dziki ogród kwiatowy i porządny warzywnik: oto jej przystań i inspiracja, jej miejsce na ziemi. Pięć lat temu Travis pożyczył jej pieniądze na zakup; za parę miesięcy, kiedy Jenessa skończy trzydzieści lat, otrzyma swoje udziały w funduszu powierniczym i to miejsce stanie się naprawdę jej.

Spojrzała na zegarek. Jeszcze piętnaście minut pieleńia, a potem pójdzie zrobić coś na kolację. Uklękła na ziemi. Jutro musi zacząć nowy obraz; zrobiła już parę szkiców. Pozwoliła, by obrazy przepływały swobodnie przez jej umysł...

– Przepraszam – usłyszała za plecami męski głos.
– Szukam Jenessy Strathern.

Tamten głos. Głęboki baryton. Poznałaby go wszędzie. Blednąc, podniosła się z kolan i zwróciła w stronę intruza.

Bryce Larabee stał na ogrodowej ścieżce niecałe trzy metry od niej. Ciemne okulary zsunął na czoło; szare oczy były równie nieprzeniknione jak wtedy, kiedy go poznała. Czując suchość w ustach, zapytała:

– Kogo?

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć. Wołałem od ganku, ale mnie pani nie słyszała. Szukam Jenessy Strathern.

Przez moment chciała skłamać; powiedzieć, że nie ma pojęcia, o kogo chodzi, że nikt taki tu nie mieszka. Lecz Wellspring było niewielką miejscowością i wszyscy się znali, więc kłamstwo szybko by się wydało.

– To ja. Czym mogę służyć?

Z uśmiechem spojrział na jej ubrudzone ziemią ręce.

– Mam nadzieję, że nie obrazi się pani, jeśli nie wymienimy uścisku dłoni. Jestem Bryce Laribee, przyjaciel pani brata Travisa.

Przemknęło jej przez myśl, że to dobrze, iż jest w najgorszym ubraniu, z włosami ukrytymi pod czapką i bez makijażu. Nie mogłaby się bardziej różnić od wymalowanej, pomarańczowowłosej dziewczynki, jaką była w wieku lat siedemnastu.

– Miło mi pana poznać – odrzekła i uśmiechnęła się sztucznie.

Miał na sobie spłowiałe dżinsy i kraciastą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokcia. Poczowała, jak fala pożądania wzbiera w jej brzuchu – tak niepowstrzymana i potężna, że Jenessa obawiała się, by mężczyzna nie domyślił się jej reakcji. Nadal go pragnęła, pomyślała ze ściśniętym sercem. Tak samo jak dwanaście lat temu. Dzięki Bogu, że ma brudne ręce; gdyby dotknął jej dłoni, byłaby zgubiona.

– Widzę, że pani przeszkodziłem – rzucił uprzejmie.

– Och, nie szkodzi – wyjąkała. – I tak miałam zaraz kończyć.

– Piękne miejsce. Możemy gdzieś usiąść? Pewnie już się pani domyśliła, że przysłała mnie Travis.

Nie domyśliła się. Wskazała gestem drewnianą ławkę pod starą jabłonią. Za skarby świata nie zaprosiłaby go do środka. Usiadła na twardym drewnie. Myśl, Jenesso, rozkazała sobie. Myśl.

– Travis zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem po rozmowie z panią – zaczął Bryce. – Powiem otwarcie: liczył, że zdołam panią przekonać do przyjazdu na chrzciny, mimo że odbywają się w Manatuck i mimo obecności pani ojca, matki i macochy.

W innych okolicznościach Jenessę rozbawiłaby ta bezpośredniość.

– Nie mogę przyjechać z powodu nawału pracy – odparła z pozorną stanowczością. – Za parę tygodni robię dużą wystawę w Bostonie i nie mam czasu na przejażdżkę do Maine.

– Travis twierdził, że pani zdąży.

– Bo ciężko pracuję. Jest pan biznesmenem, prawda? Więc powinien pan to zrozumieć.

Bryce wyjął z kieszeni złożony czek.

– Od Trávisa – wyjaśnił, podając go kobiecie. – Na bilet lotniczy.

Nie wyciągnęła ręki.

– Już mu tłumaczyłam, że nie mogę brać od niego pieniędzy. I tak jestem mu wiele winna. Zresztą chodzi o czas, nie o pieniądze – powtórzyła podniesionym głosem. – Nie może pan tego zrozumieć?

– Okej, przestańmy się bawić w kotka i myszkę – odparł spokojnie. – Nie chodzi jedynie o chrzciny, lecz o znacznie więcej. Wie pani o tym równie dobrze jak ja.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Więc proszę mnie wysłuchać – ciągnął dalej pośpnie. – Travis panią kocha i przez lata wiele dla pani robił. Nie zjawiała się pani na jego ślubie... Z pewnością pani rozumie, jak wiele ta uroczystość znaczy dla niego i jego żony. A Julie chciałaby panią wreszcie poznać. Zasluguje na coś lepszego niż lekceważenie.

– Nie chodzi o Travisa, tylko o Charlesa i...

– W porządku, nie umie się pani dogadać z ojcem, matką czy macochą. Ale to nie powód, żeby się nie zjawić na ślubie brata. A teraz robi to pani znowu.

– Muszę się z czegoś utrzymywać – wtrąciła z oburzeniem.

Lecz Bryce ciągnął dalej:

– Julie omal nie poroniła – na pewno pani o tym wie. Więc dziecko jest dla nich największym skarbem. Poprosili panią, by została matką chrzestną. I co pani na to? Szkoda pani dla nich poświęcić jednego dnia. Próbuję pani uświadomić, że zachowuje się pani jak egoistka. Zamknęła się pani w wieży z kości słoniowej i nie zamierza się zniżyć do poziomu zwykłych śmiertelników.

– Jak pan śmie tak do mnie mówić? – wybuchnęła gniewem.

– Śmiem jako przyjaciel Travisa. Mówi pani, że jest mu winna pieniądze. Ja zawdzięczam mu życie – oznajmił surowo. – Gdyby nie on, skończyłbym na ulicy, w więzieniu albo w grobie.

Urwał tak niespodziewanie, że Jenessa nie mogła powstrzymać uwagi:

– Nie zamierzał mi pan o tym mówić.

– Nie zasługuje pani na informacje o moim życiu prywatnym.

– I tak niczego to nie zmieni – odparła nie całkiem zgodnie z prawdą. – Podjęłam decyzję.

– Więc mam stać i patrzeć, jak robi pani przykrość swojemu bratu? To wielkie rozczarowanie dla nich obojga.

Nieświadomie trafił w jej słaby punkt.

– Po wystawie pojedę ich odwiedzić – powiedziała niepewnie. – Tymczasem proszę mi pozwolić zdecydować o sobie.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, czemu Travis nie zerwał z panią stosunków.

Jenessa podniosła się z miejsca.

– Przykro mi, że jechał pan na próżno – odparła sucho. – Ale marnuje pan swój i mój czas.

– Więc to pani ostatnie słowo?

– Tak.

– Doskonale. Powtórzę Travisowi, że mazanie pędzlem po płótnie jest dla pani ważniejsze niż rodzina. Chociaż założy się, że już to do niego dotarło.

Bryce obrócił się na pięcie i odszedł ścieżką. Chwilę później Jenessa usłyszała odgłos odjeżdżającego samochodu. Nad ogrodem znowu zapadła cisza. Jedynym dźwiękiem prócz brzęczenia owadów było głośne bicie jej serca.

Odjechał. Nie poznał jej. Nie skojarzył siostry Trávisa ze studentką malarstwa, z którą poszedł do łóżka, a potem brutalnie wyrzucił za drzwi. Opadła z powrotem na ławkę, zdjęła kapelusz i potrząsnęła blond lokami. Mimo szalejących w niej uczuć jedno widziała jasno: Travisowi

musiało bardzo zależeć na jej przyjeździe, skoro wysłał przyjaciela. Znowu go zawiodła.

Może powinnam się przyznać, zastanawiała się, rozmasowując napięte ramiona. Wyznać, do czego doszło – lub raczej nie doszło – między nią i Bryce'em. Zamknąć tamtą sprawę. Z pewnością to wyznanie nie zniszczyłoby przyjaźni obu mężczyzn – zbyt długo się znali. A ona nareszcie mogłaby rozmawiać szczerze z bratem, do czego tęskniła całym sercem.

Ale czy Travis nie skojarzyłby tamtego zdarzenia z faktem, że nigdy nie miała chłopaka, nigdy nie zaangażowała się w żaden związek i nie chciała wyjść za mąż? Pomyślaliby, że nadal kocha Bryce'a, a tego by nie zniosła. Jedno upokorzenie wystarczy jej aż nadto.

Następnego ranka zwlokła się z łóżka o wpół do dziewiątej. Pół nocy leżała bezsennie, gapiąc się w ciemność: tęskniła za dotykiem jedynej mężczyzny, dla którego straciła głowę, przed jej oczyma przesuwaly się na przemian sceny z hotelowego pokoju sprzed dwunastu lat i jej własnego ogrodu ubiegłego popołudnia. O wpół do czwartej zeszła do pracowni i wykonała serię bardzo niezadowolających szkiców do nowego obrazu, rzuciła je na ziemię, po czym pokrywała stronę za stroną portretami Bryce'a. Bryce w ogrodzie, nagi wśród cieni bogato urządzonej sypialni, w jej ramionach. Również one wylądowały na podłodze. Na koniec, około wpół do szóstej, zapadła w głęboki sen – na szczęście bez marzeń.

Kawa, pomyślała ziewając. Kawa i prysznic. Może potem dzień wyda się bardziej obiecujący. Podeszła do

kuchennego okna. Nagły ruch przyciągnął jej uwagę. Zamarła.

Jakiś mężczyzna pełł grządkę; koszula opinała mu się na szerokich, umięśnionych plecach, słońce lśniło na blond włosach. Najwyraźniej czuł się zupełnie swobodnie. Jenessa zapomniała o ostrożności. Odstawiła pusty kubek na blat, przeszła sień i gwałtownie otworzyła drzwi. Zawiasy skrzypnęły. Mężczyzna podniósł wzrok.

ROZDZIAŁ TRZECI

Słońce padało zza jego pleców, oświetlając kobietę na ganku. Wygląda absolutnie wspaniale, pomyślał, otrzepując ziemię z dłoni. Wyglądała też na bardzo rozwścieczoną. Doskonale. Z wielką chęcią się z nią pokłóci.

Zbiegła boso po drewnianych stopniach, kremowa jedwabna piżama przylgnęła do pełnych piersi i ud. Blond włosy tworzyły rozczochną aureolę wokół głowy, oczy wydawały się błękitne jak niebo, a policzki różowe jak u lalki. Stwierdził z niepokojem, że kobieta budzi w nim pożądanie. Jak może pożądać kogoś, kogo tak bardzo nie znosi? A może to dlatego jest na nią taki zły? Wyprosił się i rzucił kordialnie:

– Dzień dobry, Jenesso.

Stanął krok przed nim z rękami na biodrach.

– Co ty wyprawiasz?

– Pielę... nie widać?

Spojrzała na ziemię.

– Co takiego? – pisnęła. – Właśnie wyrwałeś trzy czwarte buraków.

– Nie żartuj. Chcesz powiedzieć, że z tych śmiesznych czerwonych korzonków wyrosłyby buraki?

Uświadamiając sobie, że świetnie się bawi, ciągnął dalej:

– Gdybyś wcześniej wstała, nie narobiłbym tyle szkody... Podobno miałaś malować.

– Podobno miałaś wracać do domu wczoraj wieczorem – odparowała. – Więc może to wreszcie zrobisz? Najlepiej dziesięć minut temu.

– Mieszkam w Bostonie – wyjaśnił. – Doszedłem do wniosku, że zbyt łatwo się poddałem, więc przenocowałem niedaleko w uroczym pensjonacie. Przy okazji właścicielka opowiedziała mi co nieco o tobie... o braku partnera i o twoich obrazach.

– Wilma Lawson – jęknęła Jenessa, natychmiast zapominając o gniewie.

– Ta sama. Czemu nie masz faceta, Jenesso?

– Bo zbyt wielu z nich przypomina ciebie.

Odrzucił głowę i zaśmiał się na całe gardło.

– Nie jestem taki zły.

– Czyżby? I czy musimy dyskutować jak para nastolatków?

– Dzięki temu nie myślę o tym, jak czarująco się prezentujesz w tej piżamie – odparł natychmiast.

Gorący rumieniec wypłynął jej na policzki, co go zaintrygowało. Wiedział od Travisa, że Jenessa ma dwadzieścia dziewięć lat, lecz rumieniła się jak szesnastolatka. Jak gdyby nigdy w życiu nie słyszała komplementu z ust mężczyzny. Niemożliwe. Z takim wyglądem musiała być przez nich otoczona w dzień i w nocy.

Nie żeby go to obchodziło. Powiedział jej, że wygląda czarująco. Powinien był powiedzieć: seksownie, uwodziecielsko, zmysłowo. Chętnie wziąłby ją w ramiona i pocałował rozkoszne, obrzmiałe od snu wargi. Poczł ciepło jej ciała przez cienki jedwab. Przesunął palcami przez spletaną masę włosów...

Co, u licha, się z nim dzieje? Wrócił jej powiedzieć, że ją zabiera do Maine, czy jej się to podoba, czy nie. Nie po to, by ją uwieść. Tego nie było w planach. Poza wszystkim to przecież siostrzyczka jego najlepszego kumpla.

– W Wellspring roi się od plotkarzy. Więc starannie oddzielam życie domowe od uczuciowego. Jasne?

Nie, pomyślał z irytacją.

– Masz kogoś w Bostonie?

– A ty? – odparowała.

– Nie. Żadnych małżeństw, rozwodów, dzieci ani zobowiązań.

Nic się nie zmienił, pomyślała i z wielką irytacją przyłapała się na tym, że się zastanawia, czemu się nigdy nie ożenił. To nie jej sprawa; Bryce nic już dla niej nie znaczy. Nic.

– Może byśmy wrócili do tematu? – zaproponowała cierpko. – Powtarzam to, co powiedziałam wczoraj: nie ruszę się do Maine, póki nie skończę z wystawą. Możesz powtórzyć mojemu bratu, że zrobięś, co w twojej mocy. Miłej jazdy do Bostonu. Wszystkiego najlepszego na dalszej drodze życia. I trzymaj się ode mnie z dala. Żegnam.

Nieoczekiwanie podszedł do niej – stanowczo zbyt blisko – i rzucił leniwie:

– Czuję kawę. Nie zaprosisz mnie na małą filiżankę?

Metr osiemdziesiąt pięć, szerokie ramiona i długie nogi: pod tym względem też się nie zmienił. Doleciał ją zapach wody kolońskiej. Opanowując impuls, by przesuwać palcami po jego podbródku, rzuciła stanowczo:

– Nie.

– Będę warował na twoim progu, aż zgodzisz się

pojechać na te chrzciny. Więc lepiej przywyknij do mojej obecności.

– Wezwę policję!

– Toma Lawsona? Kuzyna Wilmy? Poznałem go wczoraj wieczorem; wspomniałem, że jestem kumplem twojego brata. Wygląda na miłego gościa.

Znowu ją przechytrzył. Jenessa wzięła głęboki oddech.

– Jesteś nie do wytrzymania.

– Kawy, Jenesso. – Wskazał papierową torbę leżącą pod drzewem. – Duńskie ciasteczka Wilmy – wyjaśnił. – Pomyślałem, że może je lubisz. Z malinami i kremem.

Popatrzyła na niego. Nie zamierza się wynieść, a im dłużej się tu kręci, tym większa jest szansa, że ją rozpozna. Albo że ona rzuci się na niego niczym spragniona seksu dziewczyna – perspektywa, która wcale jej się nie podobała. Lepiej, jeśli szybko się go pozbędzie, zjawi się na chrzcinach w jakiejś oszałamiającej kreacji i zadba o to, by podczas jej następnych odwiedzin u brata Bryce Larabee znajdował się po drugiej stronie globu.

– Okej – powiedziała spokojnie. – Wygrałeś. Pojadę do Maine. Cel osiągnięty, możesz wracać.

W jego oczach zapaliły się iskierki.

– Rzadko się zdarza, by kobieta mnie zaskoczyła. Skąd ta nagła kapitulacja?

– Tak się dziwnie składa – odparła uprzejmie – że myśl, iż będziesz warował na moim progu, wcale mnie nie pociąga.

– Ja cię nie pociągam. To chciałaś powiedzieć.

– Możesz to interpretować, jak chcesz.

– Zobaczymy.

Cofnęła się i otworzyła szeroko oczy z niekłamanym przerażeniem.

– Ani mi się waż!

Bryce nie ruszył się z miejsca.

– Czego się tak boisz?

Zagryzła wargę.

– Wcale się nie boję.

– Gdybym cię rzeczywiście zaatakował, wystarczyłoby krzyknąć i zleciałoby się tu pół wioski.

– A przez następne pół roku mieliby o czym gadać.

– Więc oddałbym im przysługę, gdybym cię pocałował?

Odsunęła się jeszcze bardziej.

– Bryce – zaczęła zniecierpliwiona – jestem głodna i chcę zjeść śniadanie. Powiedz mojemu bratu, że przyjadę na chrzciny i że sama zapłacę za bilet.

Mężczyzna podszedł do drzewa i podniósł torbę z ciastkami.

– Najpierw kawa.

– Wiem już, czemu żadna za ciebie nie wyszła: nie słuchasz, co się do ciebie mówi – warknęła i ruszyła w stronę domu.

Jej biodra kołysały się pod jedwabną piżamą, włosy tańczyły na plecach. Bryce szedł za nią, żałując, że nie potrafi ignorować jej równie skutecznie, jak ona ignorowała jego. Przyznaj szczerze, Bryce, niewiele kobiet potrafi się do ciebie odwrócić plecami. I co ją naszło, że zmieniła zdanie?

Siatkowe drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem, bo Jenessa nie zadała sobie trudu, by je przytrzymać. Wszedł, rozejrzał się po niewielkiej sieni, po czym

wszedł do kuchni. Jenessy nigdzie nie było widać, ale pachniało smakowicie kawą. Zajrzał do kredensu i lodówki, znalazł dwa kubki, śmietankę i cukierniczkę oraz talerzyki na ciastka. Parę minut później, kiedy kobieta weszła przebrana w poplamione farbą dżinsy i bluzę, siedział przy stole, popijając kawę.

– Widzę, że wszędzie się czujesz jak w domu – zauważyła.

– Kawalerowie dzielą się na dwie grupy. Takich, co szukają kobiety, żeby się nimi zaopiekowała, i takich, co umieją dbać o siebie. Zgadnij, do których się zaliczam.

– Nie wszystkie kobiety – odparła cierpko – uważają za swoje jedyne powołanie niańczenie jakiegoś faceta.

Nalała sobie kawy i usiadła naprzeciw niego plecami do światła. Przekroiła jedno z ciastek, wzięła kawałek i ugryzła smakowity kęs.

– Mniam. Nie mogę się na ciebie złościć, kiedy mam usta pełne malin i kremu – wymamrotała niewyraźnie. – Wilma słynie ze swoich wypieków w dwóch okręgach.

Okruch ciasta przykleił się do jej dolnej wargi. Nie mogąc się powstrzymać, Bryce nachylił się, by go strącić. Jenessa drgnęła i popatrzyła na niego oczyma szeroko otwartymi ze strachu.

– Zachowujesz się tak, jakbyś się mnie śmiertelnie bała – zauważył, ściągając brwi. – Miałaś złe doświadczenia z jakimś mężczyzną?

– A jeśli tak?

– Co ci zrobił? – spytał ostro.

– Nie twoja sprawa.

Ze wzrokiem wciąż utkwionym w jej twarz przemówił spokojniej:

– Przepraszam, jeśli zrobiłem coś, co cię przestraszyło. Nie miałem takiego zamiaru.

Pierwszy raz poczuła do niego sympatię – i wyrzuty sumienia, że go oszukuje.

– Przeprosiny przyjęte – oświadczyła.

– Może mi o tym opowiesz?

Gwałtownie wciągnęła powietrze i zakrztusiła się kawałkiem ciastka. Bryce szybko podszedł do zlewu, nalał do szklanki wody i podał jej; w przelocie musnął jej palce. Bez obrączki, długie i piękne, zdolne. Pod paznokciami tkwiła ciemnozielona farba. Zmarszczył znowu brwi i mruknął bardziej do samego siebie niż do niej:

– Wiesz, to dziwne... przypominasz mi kogoś... to, jak się ruszasz, kształt twojej twarzy. Nie mogę sobie przypomnieć kogo.

Schyliła się nad szklanką, pozwalając, by włosy opadły jej na twarz.

– Mam takie oczy jak Travis – powiedziała.

Roześmiał się.

– Nie mówię o facetach, dziecino.

– Miałaś tyle kobiet, że trudno je wszystkie spamiętać – zauważyła złośliwie.

Z jakiegoś powodu chciał, żeby znała prawdę.

– Od dwudziestego do dwudziestego piątego roku życia nie żałowałem sobie niczego. Ale potem nagle wszystko się urwało. Jasne, spotykam się z kobietami i miewam romanse. Ale nic poważniejszego.

– Nie rozumiem, czemu mi to mówisz.

On też nie wiedział.

– A ty ilu masz facetów w Bostonie, Jenesso?

Był z nią szczery. Upiła kolejny łyk kawy i odparła obojętnie:

– Ani jednego. Chwilowo.

– To moja główna baza. Zostawię ci adres i telefon... mogliśmy pójść na kolację, kiedy będziesz następnym razem w mieście.

Mruknęła coś niezobowiązująco.

– Nie lubię wracać po zmroku. A jeśli nie zabiorę się do pracy w ciągu pięciu minut, galeria ze mnie zrezygnuje i nie będę miała po co jeździć do Bostonu.

Dopił kawę i podniósł się z miejsca, jednak zamiast ruszyć do wyjścia, skierował się w stronę pracowni. Objął zaciekawionym spojrzeniem panujący tam chaos, wdychając zapach oleju lnianego i terpentyny. Naraz spoważniał.

– To ten obraz właśnie skończyłaś?

– Tak – odparła z widocznym ociąganiem.

Scena, którą przedstawiało płótno, mogłaby się rozgrywać na jednej z ulic, gdzie dorastał. Jenessa szczegółowo przedstawiła zabite deskami okna, stosy śmieci i zarzewiałe samochody oblane wieczornym światłem; wszystko przenikała atmosfera zagrożenia.

– Skąd znasz takie ulice? – spytał szorstko.

– Chodziłam po nich. – Zawahała się. – Travis opowiadał, że dorastałeś w bostońskich slumsach.

– Czemu ci o tym powiedział?

– Bez powodu. Wspomniał ogólnie przy jakiejś okazji.

– O szczegółach nie rozmawiam z nikim.

– Może czas, żebyś zaczął – powiedziała łagodnie.

– A może nie. – Spojrzał w inną stronę. – To szkice do następnego?

Szybko zasłoniła własnym ciałem stos papierów. Umarłaby, gdyby Bryce zobaczył akty.

– Nikomu nie pozwalam oglądać nieukończonych prac – rzuciła lekko. – Proszę, idź już.

Wyjął z portfela wizytówkę i położył na stole.

– Zadzwoń do mnie, Jenesso. – Nagle uśmiechnął się i cała jego twarz się rozjaśniła. – Travis będzie szczęśliwy, że przyjeżdżasz.

Jeśli Jenessa powie Bryce'owi, że zmieniła zdanie, ten zostanie w Wellspring. Jeśli pojedzie na chrzciny, ryzykuje, że Bryce ją w końcu rozpozna. Może w ciągu najbliższych trzech tygodni uda się jej zachorować na zapalenie płuc. Albo złamać nogę.

Wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Kiedyś mi opowiesz o tamtym gościu, który cię tak nastraszył. A potem pójdę i się z nim rozprawię.

Gdyby tylko wiedział, jak ironicznie brzmiała ta oferta. Niechętnie podała mu dłoń. Z mocno bijącym sercem powiedziała spokojnie:

– Do widzenia, Bryce. Miłej podróży.

Usłyszała jego kroki, a potem skrzypnięcie siatkowych drzwi. Minutę czy dwie później wóz Bryce'a odjechał aleją. Bezwładnie oparła się o drzwi pracowni. Na trzy tygodnie ma spokój.

Nie wydawało się to długo.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bryce zszedł po trapie na przystań na wyspie Manatuck. Ojciec Trávisa wzniosł tu zamczysko, które pasowałyby raczej w Alpach. Wieżyczki i blanki Castlereigh zawsze budziły rozbawienie Bryce'a, dzisiaj jednak miał na głowie inne sprawy.

Czy Jenessa zjawiła się, jak obiecała? Czy przy ponownym spotkaniu okaże się zwyczajną kobietą – piękną, lecz nie mającą w sobie nic wyjątkowego? Od trzech tygodni nie przestawał o niej myśleć. Spędził tydzień w Brukseli, ostatnich parę dni w Finlandii, resztę w domu przy Beacon Hill. I wszędzie towarzyszył mu jej obraz. Nie zadzwoniła, lecz wcale się tego nie spodziewał. On też jej nie odwiedził, chociaż mógł to zrobić.

Ruszył w górę zbocza świadomy, że przybywa ostatni; na lotnisku wynikło opóźnienie. Przyjaciele i rodzina stali w ogrodzie różanym. Pogoda była piękna; czerwcowe słońce przygrzewało spomiędzy nielicznych białych obłoczków. Lekki wiatr pachniał morzem.

Jenessa stała przy białej altanie, gawędząc z Travisem i Julie. Bryce'a ogarnęła fala ulgi. Więc jednak się zjawiła.

Sądząc z tętna, mógł osobiście wiosłować całą drogę dzielącą Manatuck od stałego lądu. Cholera, pomyślał. Nie potrzeba mi tego. To zimna, niemiała kobieta i powinienem mieć tyle rozumu, by trzymać się od niej z daleka.

Tymczasem w głębi ducha pragnął podejść do niej, objąć ją mocno i całować do utraty zmysłów. To by zrobiło wrażenie na gościach. Co do Jenessy, potrafił sobie wyobrazić kilka scenariuszy, wszystkie stanowiące zagrożenie dla jego życia.

– Witaj, Bryce.

Oderwał oczy od Jenessy i odparł ze szczerą radością:

– Co słychać, Leonoro?

Leonora Connolly była żoną Charlesa i matką Tralisa oraz bliźniąt, Brenta i Jenessy. Wkrótce po urodzeniu tych ostatnich uciekła do Paryża, chcąc zrobić karierę jako awangardowa tancerka. Charles oświadczył dzieciom, że matka zmarła, a potem rozwiódł się z nią w tajemnicy. Dwa lata później ożenił się z Corinne, całkowitym przeciwieństwem Leonory. Ubiegłego lata Leonora odszukała dzieci. W ciągu minionych miesięcy bardzo się zbliżyła z Tralisem, lecz Jenessa traktowała ją obojętnie.

– Kolejne rodzinne zgromadzenie – mruknęła Leonora cierpko.

– Wyglądasz pięknie, biorąc pod uwagę okoliczności.

Była wysoka i smukła, długie ciemne włosy nosiły ślady siwizny, lecz poruszała się z wdziękiem tancerki.

– Więc zostaniesz ojcem chrzestnym – rzuciła.

– A Jenessa matką chrzestną. Istna Królowa Śniegu.

– Kiedy pierwszy raz spotkałam się z Tralisem, był na mnie wściekły. Chyba wolę już jego gniew niż dystans, z jakim ona mnie traktuje.

– Jest bardzo utalentowana.

– To prawda. Zamierzam się wybrać na jej wernisaż do Morden Gallery w przyszłym miesiącu... będziesz?

– Czemu nie?

– Jest też bardzo piękna – zauważyła Leonora z błyskiem w oku.

– Zastanawiałem się, czy to dlatego Travis mnie do niej wysłał. Żeby nas wyswatać. Jeśli tak, popełnił gruby błąd.

– Chyba powinienes iść się z nim przywitać. Ceremonia zaraz się zaczyna.

Usłuchał, lecz zanim dotarł do miejsca, gdzie stali Travis i Julie, został zatrzymany przez Brenta. Brat bliźniak Jenessy był przystojny, czarujący i zdaniem Bryce'a zepsuty do szpiku kości.

– Jak leci, Bryce?

– Świetnie. Chcę mieć już za sobą tę sprawę z Samanthą.

Brent uśmiechnął się szeroko.

– Jesteś taki jak ja – rzucił. – Nigdy nie dasz się złowić.

Bryce nie był zachwycony tym porównaniem: Brent uchodził za kobieciarza zamieszanego w podejrzone interesy.

– Twoja siostra też nie myśli o małżeństwie.

– Jenessa? Kogo znajdzie w takiej dziurze jak Well-spring?

– Znajduje tam spokój do pracy.

– Sztuka współczesna to jedno wielkie oszukaństwo – rzucił z pogardą Brent. – Wielkie rzeczy... nachlapać trochę farby na płótno.

Ciekawe, pomyślał Bryce: uprzywilejowany bliźniak zazdrości siostrze, którą ojciec przez lata lekcewał.

– Wybacz, pójdę się przywitać z gospodarzami – powiedział na głos.

Charles i Corinne stali przy różach. Charles był wysoki, o przerzedzonych włosach i twarzy upartej raczej niż stanowczej. Corinne jak zawsze wyglądała na pogodną i niewzruszoną, jakby wyszła ze stron ilustrowanego magazynu. Jednakże to jej zawdzięczali piękne otoczenie, w jakim się znajdowali: uwielbiała hodować róże. Bryce często myślał, że Corinne ma w sobie więcej, niż się na pozór wydaje. Ucisnął dłoń Charlesa i pocałował chłodny policzek jego żony.

– Piękny ogród, Corinne – pochwalił. – I pogoda nie mogłaby być lepsza.

– Samantha jest urocza – odparła. – Cała przyjemność z posiadania wnuczki polega na tym, że w każdej chwili można ją oddać rodzicom.

– Więc będziecie z Jenessą rodzicami chrzestnymi – odezwał się Charles. – Cieszę się, że przyjechała. Nie odwiedzała Manatuck od lat.

Bryce wiedział od Trávisa, że Jenessa zerwała kontakty z ojcem, nie akceptującym jej artystycznych skłonności.

– W przyszłym miesiącu ma wernisaż w Bostonie – ciągnął dalej Charles. – Myśleliśmy, żeby pojechać.

– Czeka ją błyskotliwa kariera – rzucił Bryce gładko.

– Skończyła doskonałą uczelnię, Columbia School of the Arts.

Serce niespodziewanie skoczyło Bryce'owi w piersi; ogród różany, uprzejma konwersacja i cichy szum fal zniknęły z jego świadomości, jakby nigdy nie istniały.

– Columbię? – powtórzył ze ściśniętym gardłem. – W którym roku?

Nie zauważając wzburzenia rozmówcy, Charles policzył w pamięci.

– Zapisła się dwanaście lat temu, a musiała ją ukończyć w wieku dwudziestu jeden lat...

Dwanaście lat temu Jenessa miała siedemnaście lat. Tyle samo co pomarańczowowłosa studentka malarstwa, która zgłosiła się do niego po wykładzie, twierdząc, że chce go narysować.

Ale tamta miała oczy niemal fioletowe.

Szkła kontaktowe, Bryce.

Jej ruchy, smukłe, zręczne palce, ulotne wrażenie, że już ją kiedyś spotkał... intuicja go nie zawiodła. Jakim był głupcem, że się wcześniej nie domyślił.

Opanował się szybko.

– Czytałem jakiś artykuł w „Financial Times” – mówił właśnie Charles. – Twierdzą w nim, że doskonale robisz, pozostając niezależny od wielkich korporacji. To niełatwa droga.

Mów o karierze, Bryce. Mów o wszystkim, tylko nie o tym, że Jenessa Strathern, kobieta, której pragniesz, była już w twoim łóżku.

– To bardzo pochlebne, Charles – rzucił z humorem. – Ale znasz mnie: nie miałem wyboru. Jestem zbyt uparty, żeby pracować dla innych.

Mówił prawdę. Zawsze był samotnikiem i przez wiele lat samotność dobrze mu służyła, zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym.

– Zobaczę, co u dumnych rodziców, i sprawdzę, czy Samantha nie wybuchnie płaczem na mój widok.

Skierował się przez trawnik w stronę altany. W ciągu wielu lat samotnej walki, którą Charles tak chwalił, nauczył się skrywać uczucia – zwątpienie, gniew, ambicję, rozpacz. Nie był jednak pewien, czy uda mu

się zapanować nad chaosem wrażeń, które go teraz zalewały.

– Cześć, Travis, Julie – przywitał się. – Witaj, Jenesso.

Przyjaciel klepnął go po ramieniu, Bryce odwzajemnił się lekkim ciosem w pierś. Obaj mężczyźni pasjonowali się sportem i byli podobnej budowy. Na tym jednak podobieństwa się kończyły, bo Travis, odkąd spotkał Julie, stał się bardzo otwarty.

– Wyluzuj, chłopie – powtarzał często Bryce'owi, lecz z równym skutkiem mógłby przemawiać do ściany.

Julie przyjacielsko cmoknęła Bryce'a w policzek, Jenessa natomiast oświadczyła głosem lodowatym jak ocean:

– Witaj, Bryce.

Sama wygląda jak ocean, pomyślał, w turkusowej sukience, z twarzą otoczoną nieporządną chmurą blond włosów i niezgłębionymi błękitnymi oczyma. Błękitnymi, nie fioletowymi. Zirytowany jej niechęcią, ujął ją za łokieć i pocałował w oba policzki. Zesztywniała. Używała delikatnych perfum, skórę miała ciepłą i gładką jak jedwab.

– Miło, że przyszedłeś – rzucił, obserwując, jak jej twarz oblewa rumieniec złości.

Nagle coś zrozumiał i serce zabiło mu mocniej. Jenessa nadal reaguje na niego równie silnie jak w czasach, gdy była studentką. Pragnęła go wtedy – i pragnie teraz. Czy to dlatego tak się go obawiała, gdy ją odwiedził w Well-spring? Z gniewem przypomniał sobie swoje zapewnienia, że pobije mężczyznę, który ją skrzywdził. Pewnie śmiała się z niego w kułak. Chętnie sprawdzi, czy nadal go pragnie. Ale nie teraz. Później.

– Jak tam Helsinki? – spytał Travis.

– Mokre, brzydkie i zyskowe – odparł krótko Bryce.
– Kiedy wracasz do siebie, Jenesso? Zostawiłem samochód na nabrzeżu na ładzie, mogę cię podrzucić na lotnisko.

– Dziękuję, nie trzeba – odparła szybko. – Umówiłam się już z kapitanem promu, że mnie zabierze.

– Nie zostaniesz na noc? Charles będzie rozczarowany.

– Nie sądzę – prychnęła gniewnie.

– Mam wrażenie, że zależy mu na naprawieniu waszych stosunków i żałuje, że tak długo cię tu nie było... Posłałaś mu zaproszenie na wernisaż?

To było bardzo wścibskie, wręcz niegrzeczne.

Julie wytrzeszczyła na niego oczy, Travis sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Czyżby naprawdę posłał Bryce'a do Wellspring w nadziei, że wpadną sobie w oko z Jenessą? A to pech, przyjacielu. Nie ma mowy, żebyśmy poleciał na twoją siostrzyczkę.

Nagle jak grom z jasnego nieba spadła na niego myśl: on, Bryce Larabee, zaciągnął do łóżka siostrę Trávisa, kiedy miała zaledwie siedemnaście lat. Travis zabiłby go, gdyby się o tym dowiedział. A potem zaczęłby zadawać pytania.

– Wszystko w porządku, Bryce? – spytała Julie. – Wyglądasz, jakbyś właśnie dostał po głowie czymś ciężkim.

Z wielkim wysiłkiem spróbował się jakoś opanować. Uśmiechnął się i wyjaśnił kulawo:

– Taaak, przepraszam. To dług czasowy. Zawsze byłem odporny, ale te krótkie przeloty są mordercze. Ładny kapelusz.

– Dostałam od Trávisa – odparła Julie, uśmiechając się czule do męża.

Bryce'owi ścisnęło się serce. Nigdy nie pokocha nikogo tak bardzo, bowiem drugą stroną takiej miłości jest wrażliwość na zranienie; nie wiedział, jak Travis lub Julie przeżyliby, gdyby drugiemu coś się stało. Gdy Travis objął żonę za ramiona i przyciągnął do siebie, Bryce uświadomił sobie jeszcze jedno: jak bardzo do siebie pasują. Nie robili tajemnicy z faktu, że uwielbiają się również w łóżku.

A jeszcze rok temu Travis był zatwardziałym kawalerem. Potraktuj to jako ostrzeżenie, pomyślał Bryce. Trzymaj się z dala od Jenessy Strathern. W tym momencie z ulgą zauważył nadchodzącego pastora.

– Zaczynamy – oznajmił Travis.

Również Jenessa zauważyła, jak bardzo Bryce jest spięty; obserwowała go ukradkiem w czasie rozmowy z Leonorą, a potem Charlesem i Corinne. Czyżby się domyślił? Szła w stronę altany, czując każdym nerwem, że on idzie w ślad za nią.

Chrzcielnicę ustawiono na podniesieniu; pastor już czekał obok. Jenessa zajęła pozycję obok brata i wzięła długi, uspokajający oddech, starając się nie myśleć o Brysie. Pomyślała o maleńkiej siostrzenicy i przysięgła sobie w duchu, że będzie się nią opiekować mimo braku doświadczenia.

Bryce ustawił się przy Julie, która trzymała córeczkę na rękach. Długa sukienka dziecka wydawała się oślepiająco biała w świetle słońca.

Matka Bryce'a opuściła go, kiedy miał cztery lata. Wyszła i nigdy więcej nie wróciła. Ojciec zniknął tego

samego dnia. Odepchnął od siebie te myśli i zatrzęsął je gdzieś głęboko. Dawne dzieje, nie mające nic wspólnego z nim obecnym. Sukces finansowy zagwarantował mu, że nigdy nie będzie biedny.

Staroświecka formuła chrztu zabrzmiała mu w uszach. Wiedział, że rodzice Samantha będą ją zawsze kochać. Sam również gotów był zrobić dla małej, co w jego mocy.

Kiedy chłodna woda dotknęła czoła dziecka, Samantha obudziła się i powiodła wokół wielkimi błękitnymi oczami. Następnie przekazano ją Jenessie, powtórzyła przysięgę głosem, który głęboko go poruszył.

Bryce nie należał do sentymentalnych mężczyzn. Co się z nim dzieje? Zerknął na nią ukradkiem i zaraz odwrócił wzrok. Podeszła do niego, niosąc dziecko ostrożnie, jakby było ze szkła.

Kiedy podawała mu becik, na jej twarzy malował się wyraz takiej delikatności, że nagle zapragnął ją pocałować. Albo przynajmniej pogłodzić po twarzy. Uśmiechnęła się; poczuł, jak wszystkie bariery, które wzniósł między sobą i światem, gdzieś znikły.

– Twoja kolej – powiedziała cicho. – Potrzywasz ją?

Podczas odwiedzin u Julie i Tralisa Bryce podziwiał dziewczynkę, głaskał ją po główce i obsypywał prezentami, nigdy jednak nie wziął jej na ręce. Znalazł się w pułapce.

Jenessa odsunęła się i nagle trzymał Samanthę zupełnie sam. Mała okazała się cięższa, niż sądził, kręciła się niespokojnie. Potem jej malutka twarzyczka wykrzywiła się i ku jego przerażeniu dziecko zaczęło płakać.

Powtarzał za pastorem właściwe słowa, próbując nie zwracać uwagi na rozpaczliwie szlochającą małą. Potrafił

narzucić swoją wolę na posiedzeniu zarządu i rozwiązywać złożone problemy, lecz uciszenie pięciokilogramowego niemowlęcia okazało się zadaniem ponad jego siły. Na szczęście Travis przyszedł mu na ratunek.

– Ja się nią zajmę. Cicho, Samantho, już kończymy.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki mała przestała płakać i uśmiechnęła się uroczo. Cichy śmieszek przebiegł wśród gości. Odmówiono błogosławieństwo i Bryce odetchnął z ulgą. Nie pamiętając, jak bardzo był wściekły na Jenesę, zwrócił się do niej:

– Dzięki Bogu, już po wszystkim.

– Wręcz przeciwnie, to dopiero początek – odparła niewinnie. – Obiecałeś się nią opiekować całe życie.

Przeczesał palcami włosy.

– To przerażające.

Uśmiechnęła się; zęby miała bardzo białe. Wydawała się taka swobodna i szczęśliwa, kiedy się śmiała. Kiedy ostatni raz kobieta pociągała go tak bardzo? Dwanaście lat temu, odpowiedział na własne pytanie. Odsunął tamto wspomnienie jak wiele innych, lecz wówczas wstrząsnęło nim do głębi. Później dopiero odkrył, że była dziewicą i miała zaledwie siedemnaście lat. Czy od tamtej pory rzeczywiście każda kobieta była tylko jej substytutem? Może to nie przypadek, że wkrótce po tamtych wydarzeniach przeprowadził gruntowne zmiany w swoim życiu? Opanował się, widząc nadchodzącego Charlesa.

– Uroczą ceremonią – rzucił niezręcznie, klepiąc córkę po rękę. – Bardzo się cieszę, że przyjechałaś, Jenesso.

Spoważniała natychmiast.

– To dla Samanthy.

– Liczyliśmy z Corinne, że zostaniesz na noc.

– Niestety, muszę być w domu dziś wieczorem – odparła z widocznym brakiem żalu. – Muszę zarabiać na życie.

– Oczywiście – zgodził się pośpiesznie Charles. – Mam nadzieję, że przyślesz nam zaproszenie na wernisaż?

– Porozmawiam z właścicielką galerii.

Charles odszedł, uśmiechając się po drodze do Leonory. Bryce ukrył rozbawienie. To rodzinne spotkanie było najeżone rafami. Żona, która rzekomo zmarła; druga żona, która nie wiedziała o jej istnieniu; mąż ignorujący dwójkę spośród trojga własnych dzieci... może moja sytuacja wcale nie była taka zła, pomyślał cynicznie. Zaczął obserwować Leonorę. Choć wyglądała na pewną siebie, odgadł, jak bardzo jest zdenerwowana.

– Witaj, Jenesso – przywitała się z córką. – Bardzo się cieszę, że zostałam matką chrzestną Samantha. Jest słodka, prawda?

– Bryce by się z tym nie zgodził – odparła uprzejmie córka, choć na jej twarzy znać było napięcie.

– Bałem się, że ją upuszczę – przyznał. – Szczególnie kiedy zaczęła płakać.

Leonora roześmiała się.

– Ma silne płuca. Zostajecie na dłużej?

– Nie wiem jeszcze – odparł Bryce.

– Nie – rzuciła Jenessa.

Leonora spojrzała na nią.

– Chętnie przyjechałabym na twój wernisaż w czerwcu.

– Z Nowego Jorku to kawał drogi.

– Nie szkodzi.

– Przyślę ci zaproszenie.

– Świetna robota, Jenesso – stwierdził Bryce cierpko,

kiedy Leonora odeszła, kołysząc się z wdziękiem. – To sztuka obrazić kogoś, nie będąc niegrzecznym. Jesteś w tym niezrównana.

Jenessa rozejrzała się wokół. Stali z dala od pozostałych gości, udających się do namiotu, gdzie serwowano obiad.

– Może powinieneś się tego ode mnie nauczyć – odparła słodko. – Bo twoje obelgi zawsze łączą się z niegrzecznością.

– Nie znam Leonory zbyt długo, ale jedno mogę powiedzieć: to wspaniała kobieta.

– Nie przeczę.

– To twoja matka, do cholery. A traktujesz ją gorzej niż sprzątaczkę.

– Nie stać mnie na sprzątaczkę.

– Daj spokój. Charles to jeden z największych bogaczy w tym stanie.

– Ta feta jest dla mnie wystarczająco trudna bez twoich opinii i sądów. Zostaw mnie w spokoju, Bryce – rzuciła do niego przez ramię, idąc w stronę namiotu.

Parę osób odwróciło głowy, słysząc jej podniesiony głos. Bryce został na miejscu. Poczekaj. Po obiedzie większość gości wróci na stały ląd. Bryce zadba o to, by Jenessy nie było wśród nich, a potem przeprowadzi konfrontację. Nie chodziło o pieniądze, dystans do Charlesa ani o Leonorę, chociaż gniewało go, z jakim lekceważeniem Jenessa traktuje matkę. Nie, chodziło o jej kłamstwo sprzed dwunastu lat. Kłamstwo, na które mimo swego doświadczenia dał się złapać.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Obiad podano w ogrodzie. Grała orkiestra kameralna, kelnerzy w białych marynarkach krążyli wśród gości, roznosząc przystawki, sałatki, pieczonego kurczaka i lody malinowe oraz najlepsze wina.

Jenessa brała udział w rozmowie, wesoło i z wdziękiem gawędząc z ludźmi, których nie widziała nigdy dotąd i pewnie nie spotka więcej. W głębi ducha była jednak zbyt napięta, by się dobrze bawić; wypłała tylko jeden kieliszek wina i skubnęła paru potraw. Bryce usadowił się najdalej, jak to możliwe, i udawał, że bawi się szampańsko.

Wyjedzie zaraz po posiłku. Bała się, że jeśli on jeszcze nie odkrył jej tożsamości, to wkrótce ją pozna. Nie powinna była przyjeżdżać. I nie powinna była iść do łóżka z bezwzględny milionerem, przyjacielem jej brata. O czym ona wtedy myślała?

O nim, tak samo jak dzisiaj. Stłumiła jęk rozpaczy. Podawano już kawę i herbatę w filiżankach z cieniutkiej porcelany. Jeszcze godzina i wsiądzie na prom. Czas najwyższy. W tej jednak chwili Julie zbliżyła się do niej i szepnęła:

- Jak tylko wszyscy się wyniosą, idziemy się kąpać.
- Muszę zdążyć na samolot.
- Proszę! – Julie zrobiła rozczarowaną minę. – O której wylatujesz?
- Dopiero o ósmej trzydzieści, ale...

– Więc masz mnóstwo czasu. Proszę. Tak rzadko się spotykamy. Za parę miesięcy znowu wyjeżdżamy z Travisem do Meksyku.

Brat Jenessy pracował jako konsultant w krajach tropikalnych, Julie zaś spędziła za granicą wiele lat jako fizykoterapeutka.

– Zostałabym, gdyby nie Bryce Laribee – wyznała otwarcie Jenessa. – Może i jest najlepszym przyjacielem mojego brata, ale zachowuje się okropnie. Nie mam ochoty go oglądać ani chwili dłużej niż to konieczne.

Julie zmarszczyła brwi.

– Rzeczywiście potraktował cię dość nieuprzejmie. Dziwne, bo zwykle bywa czarujący wobec kobiet. I większość z nich go uwielbia. Przypilnuję, żeby się do ciebie nie zbliżał.

Alternatywą było spędzenie kilku godzin na lotnisku w Portland nad jakimś dziełem o poststrukturalizmie.

– No, dobrze – zgodziła się niechętnie.

Basen osłaniała od wiatru opleciona dzikim winem krata i bar. Jenessa zanurzyła stopę w basenie i przekonała się, że woda jest rozkosznie ciepła. Corinne dała jej nowiutkie bikini, a Bryce'a na razie nigdzie nie było widać. Wskoczyła do wody.

Miała basen tylko dla siebie, bo Travis i Julie poszli przewinąć i nakarmić Samanthę.

Uwielbiała pływać. Ruszyła czałkiem, czując, jak poprawia się jej nastrój. Po przepłynięciu dziesięciu długości doszła do wniosku, że niepotrzebnie tak się przejmowała zachowaniem Bryce'a. Z pewnością jej nie rozpoznał.

Nagle, jakby przywołany jej myślami, w wodzie poja-

wił się drugi pływak. Wszędzie poznałaby tę sylwetkę. Sunął równolegle do niej; jego ślad w turkusowej wodzie znaczyły pęcherzyki powietrza. Bez trudu dotrzymywał jej tempa, zagarniając wodę muskularnymi ramionami.

Jenessa przyśpieszyła – on tak samo. Wykonała zgrabny, oszczędny zwrot przy ścianie basenu i z furią uświadomiła sobie, że zrobił to samo. Ruszyła jeszcze szybciej, chcąc go zostawić w tyle. Stopniowo zaczął ją jednak wyprzedzać, tak że widziała tylko smugę piany ciągnącą jego śladem.

Nie poddawała się łatwo. Po następnym zwrocie odbiła się mocno i stwierdziła z satysfakcją, że przestrzeń między nimi się zmniejsza. Jednak kiedy się z nim zrównała, uśmiechnął się tylko i znowu się oddalił.

Zdyszana, z obolałymi z wysiłku ramionami i nogami, podpłynęła do drabinki i wyszła na brzeg. Humor bynajmniej jej się nie poprawił, gdy odkryła, że mieli widzów: Charles, Corinne, Leonora i para w średnim wieku, zapewne rodzice Julie.

– Piękna walka! – zawołał Charles.

Jenessa wolałaby, żeby nikt nie oglądał jej wyczynów. Uśmiechnęła się jednak, podeszła do trampoliny i wykonała elegancki skok. Kiedy się wynurzyła, znalazła się twarzą w twarz z Bryce'em.

– Zaczynaj zwrot bliżej ściany, będziesz miała lepsze odbicie – poradził z uśmiechem.

– Jak będę chciała twojej rady, sama o nią poproszę.

– Biedna, pokonana Jenessa.

– Zawsze musisz wygrać, Bryce?

Odgarnął z oczu mokre włosy.

– Skaczesz lepiej ode mnie.

– Cóż za wspaniałomyślność.

– Nie przeciągaj struny, Jan – powiedział cicho.

Zamrugła.

– Chyba Jen. Travis mnie tak nazywa.

– Powiedziałem: Jan.

– W takim razie nie wiem, o co ci chodzi.

– Nie udawaj, że miałaś tylu facetów, by zapomnieć o tamtym pokoju hotelowym na Manhattanie.

Julie z głośnym pluskiem wskoczyła do wody obok nich.

– Kto ostatni, ten jest zgniłe jajo! – krzyknęła do Trávisa i Brenta stojących na brzegu.

Travis wrzucił do basenu wielką czerwoną piłkę i zanurkował w ślad za nią.

– Wodne polo! – zawołał.

Rozpoczęła się chaotyczna i wesoła gra, w której nikt nie starał się zbyt wiele przestrzegać reguł. Jenessa bawiła się z innymi, lecz myślami była gdzie indziej.

Bryce ją rozpoznał. Ogarnęło ją napięcie, jej ruchy stały się sztywne i niezgrabne. Mimo to nie umiała nie zauważyć harmonijnych ruchów Bryce'a, jego kształtnego, umięśnionego ciała.

Po chwili dołączył do nich Charles. Wraz z Travisem zaczęli walczyć o piłkę w głębszym końcu basenu, śmiejąc się i przekomarzając. Jenessa poczuła ukłucie w sercu, widząc ich komitywę. Chciałaby robić to samo, nie wiedziała jednak, jak zacząć. Zawsze kiedy chciała się zbliżyć do ojca, na przeszkodzie stawała przeszłość – mroczna, ponura i niewzruszona niczym ciężki wiktoriański mebel.

Może to wszystko jej wina. Może nie jest zdolna do miłości i dlatego nigdy nie miała mężczyzny.

– Wszystko w porządku? – spytał z niepokojem Bryce. Patrzyła na niego, jakby go zobaczyła pierwszy raz w życiu, z oczyma pełnymi bólu. Ujął ją za ramię.

– Złapał cię skurcz?

– Tak – odparła, chwytając się wymówki. – Muszę na chwilę wyjść na brzeg.

Wspięła się po drabince, zarzuciła sobie na głowę ręcznik i ruszyła w stronę przebieralni. Szybko włożyła obcisłe spodnie khaki, białą jedwabną bluzkę i haftowaną kamizelkę, wykręciła włosy i spłotła je w warkocz. Była dopiero czwarta, lecz uznała, że równie dobrze może złapać prom odpływający za piętnaście minut.

Bryce odkrył, kim jest. I o ile go znała, właśnie przygotowywał się do pojedynku. Włożyła buty i otworzyła drzwi. Mężczyzna, w dżinsowych szortach i podkoszulku, stał w odległości paru metrów.

– Czekałem na ciebie – oznajmił.

– Muszę się zbierać. Za chwilę mam prom.

– Najpierw pogadamy.

Objął ją w pasie i pociągnął za sobą.

– Puść mnie – syknęła. – Co ty sobie wyobrażasz?

– Musisz mi odpowiedzieć na parę pytań – odparł szorstko.

Prowadził ją teraz przez trawnik w kierunku zamku.

– Chcesz mnie zamknąć w wieży? – burknęła.

– Chętnie bym to zrobił – przytaknął. – A potem kochałbym się z tobą cały tydzień, aż bym naprawił to, co jest ze mną nie tak. Ale, szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby to pomogło.

A potem nachylił się i pocałował ją w usta z namiętnością zmieszaną z gniewem. Jenessa wiedziała, że po-

winna mu się wyrwać, czuła jednak równie wielkie pożądanie i furję. Nie dbając o nic, odwzajemniła pocałunek, przywierając do niego całym ciałem.

Równie niespodziewanie Bryce wypuścił ją z objęć. Zachwiała się, z zamglonymi oczami i wargami obrzmiałymi od pocałunku.

– Masz rację – mruknęła. – Tydzień by nie wystarczył.

Mruknął coś niezrozumiale i pociągnął ją w cień kwitnących krzewów bzu.

– A teraz – oznajmił szorstko – wszystko mi wytłumaczysz.

– Nic podobnego! – prychnęła. – To ty mnie wysłuchasz. I nie będziemy rozmawiać o tobie i o mnie, tylko o Leonorze. Nie masz prawa mnie potępiać za to, jak ją traktuję.

– Wcale cię nie...

– Travis opowiadał mi kiedyś, że ją pamięta z dzieciństwa. On miał matkę, ja nie. Opuściła nas, kiedy byłam niemowlęciem. A teraz wszyscy oczekują, że przyjmę ją z otwartymi ramionami. Nie mogę tego zrobić! Jest dla mnie kimś zupełnie obcym.

– Twój ojciec postąpił bardzo źle, kiedy ci powiedział, że ona nie żyje. Ale teraz stara się wszystko naprawić, a Leonora rozpaczliwie pragnie, żebyś ją polubiła. – Gniew zniknął z jego twarzy. – Uważaj, Jenesso, nie pomył sztuki z prawdziwym życiem. To ślepa uliczka.

Jego słowa wstrząsnęły nią do głębi. Popatrzyła zaskoczona. Przecież rzeczywiście nie rozwija się artystycznie od dłuższego czasu. Wciąż powtarza te same motywy, nie mogąc się od nich uwolnić, nie mogąc wyjść poza nie. Zakryła rękami uszy.

– Nie przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby rozmawiać o sztuce – burknęła.

– Ani o twojej matce, skoro o tym mowa. Czemu mnie wtedy okłamałaś?

– O które kłamstwo ci chodzi? – spytała, świadomie go prowokując.

– Wiek. Doświadczenie. To, że jesteś siostrą Trávisa.

– Gdybyś wiedział, że mam siedemnaście lat, nawet byś na mnie nie spojrział.

– Czemu mnie chciałaś, Jenesso?

Wzruszyła obojętnie ramionami.

– Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Założę się o własny dom, że nie ja pierwsza ci to mówię.

– Dajmy sobie spokój z pochlebstwami – odparł spokojnie. – Wiedziałaś o mojej przyjaźni z Travisem, a mimo to poszłaś ze mną do hotelu. Chciałaś z nim wyrównać rachunki?

– Nie! – zaprzeczyła, dotknięta.

– Nie? Wiesz, jak się będzie czuł, jeśli kiedykolwiek odkryje, co się wtedy stało?

– Tęskniłam za domem, a ty stanowiłeś ogniwo łączące mnie z bratem, którego uwielbiałam. Okej, nie myślałam wtedy zbyt jasno, przyznaję. Ale ty też starałeś się mnie uwieść, a może nie pamiętasz?

– Wykorzystałaś mnie – rzucił chłodno.

Za nic nie przyznałaby się, że był pierwszym i jedynym mężczyzną, który obudził w niej taką namiętność.

– Nie kochałaś mnie – odparła. – Ty też mnie chciałeś wykorzystać.

– Jak wielu mężczyzn miałaś od tamtej pory? Z pewnością nie byłam ostatni.

– Nie widzę powodów, dla których miałoby cię interesować moje życie seksualne.

– Nie lubię być oszukiwany, to wszystko.

– Miałam siedemnaście lat! – wykrzyknęła. – Byłam sama w wielkim mieście. Popełniłam błąd, i co z tego?

– Moglibyśmy iść do łóżka teraz – rzucił z nieprzeniknioną twarzą. – Prom masz dopiero za godzinę, a w zamku z pewnością znajdzie się jakiś ustronny kąt. Co ty na to, Jenesso?

Cofnęła się o krok.

– Nienawidzisz mnie, prawda? – szepnęła.

– Przeceniasz się.

Przez mgłę rozpaczy usłyszała zmieszane głosy i śmiech. Obróciła się i zobaczyła, że cała rodzina wyszła już z basenu i udaje się w stronę zamku. Travis pomachał jej i zawołał coś, czego nie zrozumiała.

– Nie poszłabym z tobą do łóżka, choćbyś był ostatnim facetem w Massachusetts. I postaram się, żebyśmy się nigdy więcej nie spotkali.

Wiedząc, że nie będzie się starał jej zatrzymać na oczach jej rodziny, odeszła z dumnie zadartą głową, mrugając oczami, by ukryć łzy.

Kiedy wreszcie nauczy się wierzyć swojemu instynktowi? Wiedziała, że nie powinna przyjeżdżać na chrzciny. Dała się przekonać temu roslemu mężczyźnie o spłowiałych od słońca włosach i oczach szarych jak chmury i zyskała tylko tyle, że otworzył jej dawne rany i zadał nowe. Nie była pewna, co jest gorsze. Wiedziała tylko, że powiedziała prawdę: zamierzała trzymać się od niego z dala do końca swoich dni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bryce spędził w krajach tropikalnych wiele czasu, lecz niewiele mu to pomogło w walce z bostońskim czerwcowym upałem. Wilgotne powietrze aż dławiło, słońce prażyło bezlitośnie z błękitnego nieba bez jednej chmurki, a nagrzane powietrze drżało jak na pustyni. Spaliny drapały w gardle.

Znajdował się w dzielnicy, z której uciekł, kiedy miał dwanaście lat. Dopiero rok czy dwa temu zdobył się na odwiedzenie ich znowu. Miał spotkanie z dyrektorem nowo otwartego schroniska dla kobiet. Zbierał informacje.

Czasem zastanawiał się, czy nie popełnia błędu, angażując się w budowę szkoły dla uzdolnionych dzieci z biednych rodzin. Nie miał żadnej gwarancji, że wykorzystają szansę, jaką im daje.

Otarł pot z czoła, sprawdził numer na ceglanym budynku wciśniętym między klub bilardowy i bar. Godzinę później, z głową pełną informacji, schodził po drewnianych schodach na ulicę. Windy nie było, podobnie jak innych luksusów.

Znajdował się na podeście, kiedy otworzyły się świeżo polakierowane drzwi na drugim piętrze i rozległ się kobiecy głos:

– Dzieki, Marlene. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Bryce stanął jak wryty. Rozpoznałby ten głos wszędzie. Ale to niemożliwe, nie tutaj.

Kobieta starannie zamknęła za sobą drzwi. Blond włosy spłótła w gruby warkocz, miała na sobie dżinsy i prostą bluzkę.

– Jenessa? – rzucił zaskoczony.

Obróciła się gwałtownie i aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Bryce?

– Co ty tu robisz?

– Ja... mogłabym o to samo spytać ciebie.

– Wychodzisz?

– Tak.

– Doskonale. Pójdziemy razem.

Wynurzyli się na rozpaloną ulicę.

– Zaparkowałem parę przecnic stąd – powiedział. – Chodź ze mną, podrzucę cię, dokąd zechcesz.

– Niedaleko jest stacja metra, a dalej mam autobus. Ale dzięki za propozycję.

Nie podobała mu się myśl, że Jenessa będzie chodzić po tych ulicach bez ochrony, a jeszcze mniej pomysł, by sama jechała metrem.

– Wyglądasz na zmęczoną – rzucił z większą dozą szczerości niż taktu.

– Dzięki.

– Podwiozę cię na przystanek.

Rzeczywiście czuła się wyczerpana i przygnębiona słuchaniem wciąż tych samych historii od różnych kobiet tydzień za tygodniem.

– Masz w wozie klimatyzację? – spytała. – To mogłoby mnie przekonać.

– Mam. – Ujął ją za ramię. – Powiedz szczerze, co tu robiłaś?

– Pracuję jako wolontariuszka.

Rękawy miała podwinięte; jej naga skóra wydawała się rozkosznie miękka pod jego dotykiem. Mimo to natychmiast skojarzył fakty.

– Tamto płótno, które widziałem u ciebie w pracowni... teraz wiem, skąd czerpiesz natchnienie. Czemu to robisz? – Zauważył jej wahanie i zapewnił szybko: – Możesz mi zaufać. Potrafię być dyskretny.

Zagryzła wargę.

– Odkąd pamiętam, Charles mnie nie kochał. Nie taką, jaką byłem. Corinne mnie nawet lubiła, ale nie była szczególnie uczuciowa, a o mojej matce nikt nie wspominał, jakby nie istniała. Więc teraz pomagam w schronisku dla bezdomnych kobiet. Takich, które naprawdę nie mają domu. Wiem, że to nie ma sensu.

– To ma wiele sensu, Jeness – sprzeciwił się łagodnie. – Robisz wspaniałą rzecz.

– To bardzo mało.

– Nikt nie zmieni świata w pojedynkę. Ale każda pomoc się liczy.

– A co ty tu robiłaś?

Powinien był przewidzieć to pytanie. Najkrócej jak to możliwe przedstawił jej swoje plany.

– Kim, dyrektorka schroniska, wie wszystko o tej okolicy.

– Taka szkoła to wspaniały pomysł – zapaliła się Jenessa i dodała naiwnie: – Musisz mieć mnóstwo pieniędzy.

– Nie narzekam.

– Dorobiłeś się na komputerach?

– Travis ci nie opowiadał? – A kiedy pokręciła głową, wyjaśnił: – Kiedy miałem jedenaście lat, trafiłem na niezwyklego nauczyciela matematyki i pierwszy raz w życiu zobaczyłem, że chodzenie do szkoły może mieć sens. Za własne pieniądze kupił mi komputer, a potem załatwił stypendium do szkoły, do której uczęszczał Travis. Mając dziewiętnaście lat, zaproponowałem parę innowacji w programowaniu, a ponieważ trafiłem na właściwy moment, w ciągu następnych pięciu lat zarobiłem mnóstwo forsy. – Wzruszył ramionami. – W zasadzie nie muszę pracować. Ale kręci mnie rozwiązywanie problemów i lubię podróże.

– A teraz chcesz założyć szkołę, żeby dać taką samą szansę innym dzieciakom – powiedziała wolno Jenessa.

Popatrzyła na zabita deskami wystawę pomazaną grafitti.

– Zrobiłeś niezwykłą karierę... to tutaj dorastałeś?

Puścił jej rękę i ruszył nieco szybciej.

– Niedaleko. O której masz autobus?

– Za parę godzin. Jeśli nie chcesz rozmawiać o swojej przeszłości, Bryce, możesz po prostu powiedzieć.

– Okej. Nie chcę.

Bywała tu dostatecznie często, by zrozumieć jego motywy.

– Pewnie uważasz mnie za mazgaja, skoro się skarżę na swoje dzieciństwo.

Bryce stanął na środku chodnika.

– Twoja matka zniknęła, ojciec żałował, że nie jesteś kimś zupełnie innym, a Corinne ma więcej uczuć dla swoich róż niż żywych ludzi. Nie, nie uważam cię za

mazgaja. I przykro mi, że na chrzcinach tak na ciebie napadłem z powodu Leonory.

– Właśnie kiedy mi się zdawało, że cię rozgryzłam, zupełnie mnie zaskakujesz – zauważyła.

– Nie płacą ci za to, żebyś mnie rozumiała – burknął i ruszył szybko przed siebie.

Dysząc z gorąca, szła jego śladem. Rusza się jak wygłodniały tygrys, przemknęło jej przez myśl. A kim jest ona? Tygrysią sunącą jego śladem czy jakimś małym, bezbronnym stworzeniem?

Tego dnia poznała go od zupełnie nowej strony: człowieka przeznaczającego zarobione miliony na pomoc dzieciom, których nigdy nawet nie spotkał. Wcale nie chciała go lubić. Dość ma kłopotów przez to, że nadal go pożąda niczym głupia siedemnastolatka. Nie musi go jeszcze szanować.

Kilka minut później dotarli do samochodu, ciemnoniebieskiego jaguara o opływowych kształtach – i z klimatyzacją, jak obiecał. Wkrótce sunęli cienistymi, zadbanymi ulicami w bogatszej części miasta.

– Postawię ci obiad – zaproponował Bryce. – Znam tu dobrą restaurację. A potem podrzucę cię na dworzec.

Restauracja serwowała najlepsze kalmary i sałatkę grecką, jakich Jenessa kiedykolwiek kosztowała. Właśnie popijała czerwone wino, gdy Bryce odezwał się:

– Kiedy wyjeżdżałem z Manatuck, byłem zdecydowany nigdy więcej się z tobą nie spotkać.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Witamy w klubie.

Ujął jej dłoń i zaczął się bawić jej palcami. Zrobiło się jej słabo z głodu nie mającego nic wspólnego z kalmarami.

– Co z tym zrobimy? Ja pragnę ciebie, a ty mnie, i nie jesteś już siedemnastoletnią dziewczyną.

– Nic z tym nie będziemy robić – odparła stanowczo.

– Minęło dwanaście lat, Jenesso. Postarzałem się i zmądrzałem – dodał z uśmiechem. – Nie interesuje mnie małżeństwo, ale obiecuję, że będę ci wierny przez czas, jaki ze sobą spędzimy, i zrobię wszystko, by cię uszczęśliwić.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu poczuła, że chce się jej płakać. Patrzyła w dno kieliszka, szukając słów, które zabrzmiałyby równie szczerze, lecz pozwolą jej ukryć to, do czego nie chciała się przyznać.

– Spotkałam wielu mężczyzn w ciągu tych dwunastu lat – zaczęła ostrożnie. – Nie jesteś do nich podobny, Bryce. Jesteś silny, pełen charyzmy i tak pociągający, że miękną mi kolana. Zaangażowałabym się za bardzo.

– Chyba mnie nie kochasz? – spytał szorstko.

– Nie, jasne, że nie! Ale to, co się dzieje, kiedy się znajdziemy w tym samym pomieszczeniu, nie wydaje się normalne. Sprawiasz, że tracę głowę i nie wiem już, kim jestem. – Upiła łyk wina. – Więc romans nie wchodzi w grę.

– Mnie też się nie podoba, że cię tak bardzo pragnę – rzucił spokojnie.

– Zauważyłam – odparła sucho.

– Boisz się mnie.

– Boję się własnych reakcji... tego, co czuję, kiedy cię widzę – odparła z tłumioną gwałtownością. – Właśnie w tej chwili najchętniej powlokłabym cię za tamtą palmę i kochała się z tobą na dywanie. Bardzo zabawne, tylko co potem?

Nagle uśmiechnął się do niej tak wesoło, że musiała odpowiedzieć uśmiechem.

– Lubię cię – stwierdził. – Podoba mi się twój sposób myślenia.

– Naprawdę? Bo odpowiedź brzmi: nie.

Nie mówiła całej prawdy. Spuściła wzrok na jagunicinę i ziemniaki z ziołami, jakby nic więcej jej nie interesowało.

– A jak postępy w pracy? – spytał po chwili.

Więc przyjął odmowę. Nie wiadomo czemu spodziewała się, że będzie protestował.

– Całkiem nieźle. Dzisiaj oddałam do galerii największy obraz.

Przez parę chwil gawędzili o sprawach technicznych. Bryce znał się doskonale na współczesnej sztuce.

– Wyłudziłem zaproszenie na twój wernisaż – rzucił mimochodem. – Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

Jej widelec zawisł w pół drogi do ust.

– Po co chcesz tam iść? – spytała, czując wzbierający gniew.

– Żeby zobaczyć twoje obrazy, naturalnie.

– O mnie wcale ci nie chodzi – prychnęła.

– Odrzuciłaś moje awanse, pamiętasz?

Wściekła i równocześnie świadoma, że jej gniew nie ma racjonalnych podstaw, burknęła:

– Zdecydowaliśmy, że nie będziemy się widywać.

– Spróbujemy po wystawie.

– Jesteś niemożliwy! – odparła z policzkami płonącymi z gniewu.

– Wszystko jest możliwe, Jenesso. Mają tu doskonałą baklawę. Chcesz trochę?

– Chcę wsiąść do autobusu i wrócić do domu!

– Z dała od Charlesa, Corinne i Leonory – rzucił błyskotliwie.

– Oraz ciebie.

Bryce dał znak kelnerowi i zamówił dwie porcje baklawy. Potem dodał, jakby nic się nie stało:

– Na pewno nie żałujesz? Moje pieniądze nie interesują cię ani trochę?

Miała ochotę cisnąć mu na kolana obrus z całą zastawą, lecz odpowiedziała tylko:

– W przyszłym roku, kiedy skończę trzydziestkę, odziedziczę pieniądze po dziadku.

– Ja jestem wart dużo więcej.

– Nie mam czasu chodzić na zakupy, wolę malować – odparowała. – A posiadanie przedmiotów nigdy mnie nie pociągało.

– Kolejna rzecz, która nas łączy – zauważył. – Parę lat temu pozbyłem się mnóstwa gratów. Wcześniej miałem domy w każdym zakątku świata, samochody i prywatny odrzutowiec, żeby latać nim z miejsca na miejsce. Potem mi się znudziło.

To jego szczerość najbardziej mnie porusza, pomyślała Jenessa z ukłuciem bólu.

– A teraz postanowiłeś wybudować szkołę – stwierdziła. – Z kim mieszkałeś, kiedy sam miałeś dziesięć lat? Jaki byłeś?

– Nie chciałyś mnie znać – uciał krótko. – Powinniśmy się zbierać, mogą być korki. Gotowa?

Zamknął przed nią swoją przeszłość równie skutecznie, jakby zatrzasnął jej przed nosem drzwi.

– Dajesz do zrozumienia, że twoja przeszłość to

zakazany obszar – powiedziała z irytacją. – Dlaczego nie chcesz uznać, że moja przyszłość należy tylko do mnie?

– Bo nie – odparł.

Gwałtownie odsunęła krzesło. Milczała przez całą drogę na dworzec. Wysiadając, rzuciła cierpko:

– Dziękuję za obiad i podwiezienie. Ale trzymaj się z dala od galerii, Bryce. I nie nachodź mnie już nigdy.

– Nigdy to bardzo długo.

Złapał ją za nadgarstek, przyciągnął do siebie i pocałował mocno w usta.

Jej ciało zbudziło się nagle do życia, zapłonęło pożądaniem. Jak boleśnie łatwo byłoby się poddać, nachylić się i odwzajemnić pocałunek. Resztką sił wyrwała mu się i skoczyła na chodnik.

– Nie licz na romans ze mną! – krzyknęła.

Chodnik był zatłoczony. Kilku przechodniów zaśmiało się, paru innych wytrzeszczyło na nią oczy. Zatrzasnęła drzwi jaguara; dopiero w autobusie przypomniała sobie, że zostawiła w samochodzie paczuszkę z baklawą.

Uwielbiała baklawę. Ale nie znosiła Bryce'a.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Członkowie rodziny zjawili się w galerii w odstępie paru minut, jakby się zmówili. Jenessa stała w głębi, rozmawiając z dwoma kongresmenami. Obrazy zostały pięknie wyeksponowane, goście przybyli tłumnie, jedzenie i wina były doskonałe. Co więcej, było jej bardzo do twarzy w jedwabnej blad różowej spódnicy i tunice kupionych specjalnie na tę okazję. Fale splecionych loków otaczały jej twarz; włożyła kolczyki z opalami, które dostała od Trávisa i Julie na ostatnie urodziny.

Powinna się czuć szczęśliwa, lecz nie umiała. Przed otwarciem obejrzała jeszcze raz swoje dzieła i z wielką siłą uderzyła ją monotonia tematów i stylów. Niewielu gości umiałoby to dostrzec, bo miała prawdziwy talent i doskonałą technikę, ona jednak to widziała.

Utknęła.

Nie pierwszy raz użyła tego słowa, lecz pierwszy raz z tak głębokim przekonaniem. Co zrobić? Jak przekroczyć własne ograniczenia, zobaczyć, co czeka na nią dalej? Nie miała pojęcia.

Witając się z gośćmi, czuła się jak aktorka, bez przekonania odgrywająca rolę.

Pierwszy Charles stanął w drzwiach, za nim zjawiała się Corinne, Julie i Travis. Dwie minuty później wkroczyła Leonora. Jenessa podeszła, by się z nimi przywitać. Dobrze, że chociaż Bryce nie przyszedł, pomyślała.

– Co za tłum! – zauważył Charles z zaskoczeniem.

– Czekaliśmy na ten dzień – odezwała się Corinne z niezwykłą serdecznością. – Witaj, Leonoro.

Charles wymienił z byłą żoną uścisk dłoni. Julie objęła Jenessę, Travis pocałował ją w policzek.

– Pięknie wyglądasz, Jenesso – zauważyła Leonora.

Sama prezentowała się niezwykle elegancko w lekkiej jak pajęczyna szarej sukni podkreślającej jej wdzięczne ruchy. Jenessa mruknęła coś niezobowiązująco i pomyślała nagle: Boję się własnej matki.

Nie był to najlepszy moment na takie odkrycia.

– Rozejrzyjcie się, a potem porozmawiamy – zaproponowała szybko i uśmiechnęła się z trudem. – Ja muszę zabawić gości.

Wkrótce gawędziła z przybyłymi, którzy postanowili jej objaśnić jej własne obrazy lub oczekiwali objaśnień od niej. Nie była pewna, co gorsze, lecz przynajmniej mogła nie myśleć o rodzicach i Brysie.

Pół godziny później, kiedy przyjęcie trwało w najlepsze, czyjaś dłoń spadła jej nagle na ramię. Uśmiech zastygł na jej twarzy. Skąd wiedziała, że ręka należy do Bryce'a?

Przełknęła ślinę i zwróciła się w jego stronę.

– Witaj, Bryce – powiedziała serdecznie. – Więc „nigdy” trwało aż dziesięć dni?

– Kto by tam liczył – odparł równie swobodnie.

Widział w życiu wiele pięknych kobiet. Co takiego było w Jenessie, co poruszało go do głębi? Przy odrobinie szczęścia może uda mu się ukryć wrażenie, jakie na nim robiła. Bo naturalnie liczył dni do ich spotkania. Dzisiaj liczył nawet godziny.

Wyglądała absolutnie wspaniale z zaróżowionymi policzkami, błyszczącymi wojowniczo niebieskimi oczami, otulona miękkim jedwabiem. Nic dziwnego, że tak za nią tęsknił. Musi tylko pamiętać o dwóch rzeczach. Że ona nie zgadza się na romans. I że on sam nie zamierza jej zaproponować nic więcej.

Wiedział, że Travis zarezerwował Jenessie pokój w jednym z pobliskich hoteli.

– Nie chciałem, żeby wracała do domu po nocy – wyjaśnił.

Bryce też tego nie chciał, choć z innych powodów.

– Może przestałbyś się na mnie gapić? – prychnęła gniewnie Jenessa. – Mam szminkę na zębach?

Opanował się szybko.

– Nie... wyglądasz bardzo pięknie – odparł zgodnie z prawdą. – I wydajesz się spięta. O co chodzi?

– Charles, Corinne i Leonora są w okolicy – powiedziała szybko.

– Miałem nadzieję, że dałaś sobie spokój z oszukiwaniem mnie, kiedy skończyłaś osiemnaście lat. Co się naprawdę stało?

Zobaczył z przerażeniem, że jej oczy nagle napełniły się łzami. Zamrugwała gwałtownie.

– Idź sobie, Bryce. Jestem główną atrakcją tej imprezy i nie mogę sobie pozwolić na to, żeby mnie zobaczono szlochającą na twoim ramieniu.

– Jest zawsze do twojej dyspozycji – zapewnił. – Pójdziemy na drinka, jak się to wszystko skończy.

– To najlepsza oferta tego wieczoru, co nie znaczy, że ją przyjmuję – odparła cierpko, posyłając olśniewający uśmiech jakiejś obwieszanej brylantami matronie.

Bryce odszedł na stronę. Z romanssem sprawy przedstawiały się prosto: zwykłe spotkanie dwóch osób w łóżku dla obopólnej przyjemności, przy zachowaniu bezpiecznego dystansu uczuciowego. Więc czemu teraz nagle proponuje Jenessie ramię, na którym mogłyby się wyplakać? Tego rodzaju bliskość była zdecydowanie niezgodna z jego zasadami.

Zaczął oglądać obrazy, a kiedy to robił, na jego twarzy odmalowało się jeszcze większe zatroskanie. W ciągu następnej półgodziny wiele się dowiedział o Jenessie. Wszystkie płótna były doskonałe technicznie; niektóre realistyczne, inne na granicy abstrakcji. Lecz wszystkie przesyciała atmosfera nieokreślonej grozy; zbyt ulotnej, by jej stawić czoło, lecz zbyt głęboko zakorzenionej, by ją pokonać.

Stało się dla niego jasne, że w głębi duszy Jenessa jest głęboko nieszczęśliwa. Oraz że jest utalentowaną i wrażliwą artystką. Oba te wnioski głęboko go niepokoiły.

Jenessa Strathern nie należała do kobiet w jego typie. Wolał chłodne racjonalistki, które jeśli nawet miały bogate życie wewnętrzne, to się z nim nie afiszowały, tak samo jak on.

Zatopiony w myślach, nie zauważył, że znienacka znalazł się w samym środku rodziny Strathernów z Jenessą włącznie. Opanował się szybko i pozdrowił ich uprzejmie.

– Piękna wystawa – pochwalił szczerze. – Moje gratulacje.

Charles wyraźnie nie znał się na sztuce.

– Bardzo ładne kolory – stwierdził. – Kupiliśmy z Corinne jeden obraz, żeby go zawiesić w salonie w Back Bay.

- Kupiliście obraz? – powtórzyła Jenessa zaskoczona.
- Jesteśmy z ciebie dumni – mruknął jej ojciec.

Wyglądała na kompletnie ogłuszoną. Przedłużającą się ciszę przerwał Travis:

– Musimy się zbierać, zostawiliśmy małą z opiekunką. Zobaczymy się jutro w hotelu na obiedzie. Odwiedzisz nas, Leonoro?

– Niestety, wieczorem mam samolot do Nowego Jorku... jutro z samego rana prowadzę zajęcia.

– Więc leciałaś tak daleko tylko na jeden dzień? – wyrwało się Jenessie.

Leonora uśmiechnęła się.

– Owszem. I wcale nie żałuję.

– Dziękuję – wymamrotała jej córka niezręcznie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparła Leonora. – Ktoś chce się zabrać ze mną taksówką?

– Pojedziemy bardzo chętnie – odezwała się gładko Corinne. – Jesteś gotowy, Charles?

– Oczywiście, oczywiście. – Spojrzał na córkę. – Mam nadzieję, że niedługo znowu się zobaczymy.

Mruknęła coś niezrozumiale, mnąc jedwabną spódnicę. Wszyscy ruszyli do wyjścia.

– Idziesz, Bryce? – spytał Travis.

– Chcę jeszcze raz obejrzeć kilka płócien, jak się zrobi luźniej – odrzekł Bryce. – Pogadamy jutro.

Do czasu gdy skończył oglądać płótna, większość gości wyszła i drzwi zamknięto. Podszedł od tyłu do Jenessy, objął ją w talii i zapytał:

– Wychodzimy? Mój samochód czeka.

Drgnęła nerwowo, po czym niezręcznie przedstawiła go stojącej obok właścicielce galerii. Bryce rzucił parę

inteligentnych uwag na temat płócien. Po chwili kobieta odeszła, by przypilnować pracowników firmy cateringowej.

– Powinnam wziąć taksówkę – zaprotestowała Jenessa słabo.

– Potrzebujesz porządnego drinka – odparł stanowczo. – Chodź.

Objął ją i poprowadził do wyjścia. Na zewnątrz było gorąco i duszno, ruch mimo późnej godziny pozostał duży.

– Niedaleko jest klub, gdzie grają niezły jazz. Idziemy.

Jenessa ten jeden raz się nie sprzeciwiła. Zdjęła buty na wysokich obcasach i westchnęła z ulgą.

– Obiecuj mi tylko jedno: że nie użyjesz słowa „sztuka” – poprosiła.

Roześmiał się.

Nagle poczuł się szczęśliwy. Jenessa siedzi tuż obok niego, w jego aucie. W głębi serca wcale nie był pewien, czy ten wieczór skończy się właśnie w taki sposób. Ale udało się; reszta należy do niego.

Radość? Czyżby ta kobieta znaczyła dla niego tak wiele?

Chce ją mieć w swoim łóżku, to wszystko.

Postanowił ją oczarować. Nocny klub, dokąd ją zabrał, był skromny, ale bardzo elegancki. Parkiet do tańca oświetlało przyćmione światło, stoliki ustawione tak, by zapewnić prywatność. Jenessa opadła na wyściełaną kanapkę i zamówiła brandy Alexander, Bryce wziął piwo i owoce morza. Zaczęli gawędzić, porównując swoje gusta co do książek, telewizji i sportu; choć sama miała

zdecydowane poglądy, słuchała z uwagą jego opinii. Odkrył, że świetnie się bawi, i stwierdził z ulgą, że napięcie zniknęło również z jej twarzy. Pół godziny później zaproponował lekko:

– Zatańczysz?

Była w połowie drugiego drinka.

– Czy to znaczy, że mam włożyć buty?

– Jeśli o mnie chodzi, możesz tańczyć boso.

W jego głosie zabrzmiała nuta, od której dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Nie wygląda mi to na miejsce, gdzie wypada robić takie rzeczy.

– Gram według własnych reguł – brzmiała leniwa odpowiedź Bryce’a.

Powiedział to samo wtedy, dwanaście lat temu. Znowu poczuła dreszcz.

– Tylko mi nie depcz po palcach – poprosiła żartobliwie.

Lubiła tę szermierkę słowną bardziej nawet niż jego ostry dowcip i nieprzeniknione oczy.

Na parkiecie było już kilka par. Powolna, zmysłowa melodia przenikała do żył. Jenessa wślizgnęła się w objęcia Bryce’a. Jedną ręką otoczył jej biodra, drugą ujął jej dłoń i położył sobie na ramieniu. Oparła czoło o jego drugie ramię i dała się ponieść muzyce, jak gdyby nie miała na świecie żadnych trosk. Tym razem jej pragnienie nie było gorącym porywem, lecz czymś mniej nagłym, głębszym i – uświadomiła sobie – znacznie niebezpieczniejszym.

Była ostrożna przez dwanaście długich lat. Czy tylko tego chciała od życia? Być bezpieczną? Czy to dlatego nie

potrafiła kochać? A może na tym także polegał problem z jej malarstwem: że obawia się zaryzykować?

Nie była jedynie artystką, lecz także kobietą. W ramionach Bryce'a odczuła swoją kobiecość w pełni i pierwszy raz poczuła się z niej dumna. Przyciągnął ją bliżej do siebie, odgarnął włosy i przesunął wargami po jej szyi; zadrżała z rozkoszy jak liść. Potem uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy, nie próbując ukryć pożądania.

– Chcę, żebyś o czymś wiedziała – powiedział półgłosem. – Tylko jednej kobiecie pragnąłem tak bardzo jak cię teraz... a wtedy, przed laty, dopiero stawała się kobietą.

Popatrzyła na niego spod opuszczonych rzęs.

– Kiedy powiedziałam, że chcę narysować twój portret, była to prawda. Ale niecała.

– Wiedziałem to od pierwszej chwili.

Uniósł jej rękę do ust i zaczął całować palce, a potem przywarł wargami do wnętrza dłoni. Mogła myśleć tylko o jednym: że pragnie więcej.

– Mam pokój w hotelu wychodzącym na zatokę – szepnęła słabo.

– Colonial?

Zagryzła wargę.

– Znowu cię okłamałam, prawda? Dziesięć dni temu mówiłam, że nie będę się z tobą kochać, a teraz...

– Robisz mi zaszczyt – odparł schrypniętym głosem.

On naprawdę tak myśli, przemknęło jej przez głowę. Więcej, rozumie, że to, co najcenniejsze, można jedynie otrzymać w darze.

Przez moment zalało ją przerażenie. Opanowała je z wysiłkiem; pozwoliła się odprowadzić do stolika i od-

szukała buty, podczas gdy Bryce płacił rachunek. Powietrze na zewnątrz opadło na nich jak wilgotny koc. Wsiadła do jaguara i splotła dłonie na kolanach.

Jazda do hotelu zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Miejsce pożądanego zajął niepokój, nerwy Jenessy były napięte do granic możliwości. Za parę chwil Bryce odkryje, że nie kochała się z nikim od czasu, kiedy trafiła z nim do łóżka. Co sobie pomyśli? Że nadal go kocha? Że go kochała przez te wszystkie lata?

Ani jedno, ani drugie nie było prawdą, lecz czy jej uwierzy? Przypomniała sobie wyraz jego twarzy tamtej nocy na Manhattanie, jego pogardę. Co powinna zrobić? Nic w jej relacji z Bryce'em nie wydawało się typowe. Romans z nim wywróciłby jej życie do góry nogami – wiedziała o tym.

Czy tego pragnie? Żeby się z nim kochać ze świadomością, że on wcześniej czy później ją porzuci? Kolejny raz zostałaby opuszczona i wiedziała, że ból z tego powodu przekraczałby wszystko, czego doznała w życiu. Jak by to zniosła?

Ze skurczem przerażenia zobaczyła neon hotelu. Przybyli na miejsce. Za parę chwil Bryce pójdzie z nią do jej pokoju; wtedy będzie zbyt późno zmienić zdanie.

– Bryce, nie mogę! Nie mogę tego zrobić – odezwała się naraz.

Podjechał do krawężnika i zahamował gwałtownie.

– Nie chcę ryzykować romansu z tobą. Za bardzo się boję konsekwencji.

– Przecież ci obiecałem, że będę ci wierny i zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

– Dopóki nie spotkasz kogoś innego.

Uderzył pięścią w kierownicę.

– Nie szukam nikogo innego!

– Ale nie chcesz się angażować.

– Nie nadaję się do małżeństwa... już ci to tłumaczyłem.

– A ja się nie nadaję do romansów.

– Nie opowiadaj – odparł ze złością. – Travis pokazywał mi, co o tobie wypisywano w gazetach. Ciągłe się z kimś spotykałaś.

Powiedz mu, że jesteś dziewicą. Lecz słowa utknęły jej w gardle. Wsiadła z samochodu, mgliście zdając sobie sprawę, że Bryce nie robi żadnego ruchu, by ją zatrzymać.

– Przykro mi – szepnęła. – Nie powinnam była się zgadzać. Nie możemy się więcej spotykać, to nie ma sensu.

Zatrzasnęła drzwi auta i pobiegła w stronę hotelu.

Portier uśmiechnął się do niej. Jej obcasy stuknęły na marmurowej podłodze, złożone lustra odbijały postać elegancko ubranej kobiety, która była nią.

Bryce'a nigdzie nie było widać. Nie poszedł za nią.

Więc się tego spodziewała?

Kiedy znalazła się sama w swoim pokoju, zrzuciła cisnące buty i zdjęła sukienkę, po czym padła na łóżko. Gdyby nie była takim tchórzem, Bryce leżałby obok niej na poduszce właśnie w tej chwili. Była sama, niekochana i niepotrzebna nikomu – bo tak wybrała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego dnia wstała o świcie. Spała fatalnie. Ubiegłego wieczoru zaprzepaściła szansę, by naprawić szkodę wyrządzoną dwanaście lat temu, i sama ją odrzuciła. Odrzuciła Bryce'a.

On już nie wróci, jest na to zbyt dumny. Czemu miałby błagać o jej względy, skoro ma wokół tyle kobiet, gotowych mu dać to, czego pragnie?

Włożyła krótką spódnicę w barwne wzory i biały wiązany top, splótła włosy w warkocz. Starannie zrobiła makijaż i włożyła lazurowe sandałki kupione na wyprzedzaży ubiegłej jesieni. Potem ruszyła na dół, by kupić poranne gazety. Wiedziała, że pojawią się w nich recenzje jej prac. Potem zamówiła kawę i wyszła na cienisty dziedziniec hotelu. Wybrała stolik na uboczu, upiła łyk kawy i sięgnęła po pierwszy tytuł z wierzchu. Znała autora recenzji i wiedziała, że podoba mu się jej styl. Jego uwagi były przenikliwe, lecz niemal wyłącznie pochlebne. Odprężona, wybrała z kolei gazetę zatrudniającą najbardziej wpływowego krytyka w jej branży. To jego ocena liczyła się najbardziej.

Recenzja znajdowała się na trzeciej stronie. Jenessa zaczęła czytać z drżącym sercem. Autor zaczął od pochwał dla jej techniki, potem jednak stwierdził, że zawarte w pracach emocje zaczynają się powtarzać. Od ostatniej wystawy przed półtora roku nie zrobiła większych

postępów. Byłoby wielką stratą, gdyby artystka tej miary co Jenessa Strathern zdecydowała się na komercyjny sukces zamiast pracować nad swoim rozwojem artystycznym.

Lekki wiatr poruszył liśćmi rosnących na dziedzińcu brzoź. Z oczyma pełnymi łez Jenessa wpatrywała się w zadrukowaną stronę. Jak mogła podejrzewać, że ktoś tak inteligentny nie dostrzeże tego, co sama widziała aż nazbyt wyraźnie?

Nie potrafiła się zmienić. Gdyby wiedziała, jak to zrobić, nie wahałaby się ani chwili.

Usłyszała zbliżające się kroki i przez łzy zobaczyła idącego w swoją stronę Bryce'a. Nałożyła ciemne okulary i szybko złożyła gazetę.

– Czytałem recenzje. Tylko dlatego przyszedłem.

– Nie potrzebuję, żebyś się nade mną litował.

– Jenesso – przerwał jej niecierpliwie – on tylko zwraca uwagę, w jakim powinnaś iść kierunku. Gdyby nie sądził, że jesteś tego warta, oszczędziłby sobie uwag.

– Nie wiem, jak to zrobić! – Rozpłakała się. – Na tym polega problem. On ma rację: tkwię w miejscu od miesięcy.

Bryce sięgnął nagle po nieporządną stos gazet.

– Zbieraj się, pójdziemy do mnie, dostaniesz śniadanie i opowiesz mi, czemu utknęłaś.

Użył tego samego słowa co ona.

– Więc ty też to zauważyłeś... wczoraj w galerii.

– Nie trzeba być wielkim specjalistą, by dostrzec, że jesteś nieszczęśliwa i kręcisz się w miejscu.

– Wiesz, jak się czułam? Jakbym stała tam nago na oczach wszystkich.

Jeśli oczekiwała łatwego współczucia, to się zawiodła.

– Tak jest z każdym artystą – odparł Bryce niewzruszenie. – Obnaża duszę, by inni mogli wzrosnąć dzięki kontaktowi z jego sztuką. To wielkie ryzyko, ale jeśli go nie podejmiesz, do niczego nie dojdiesz.

– Ale ja przestałam robić postępy! Nie rozumiesz, co to znaczy? – Otwartą dłonią uderzyła gazety. – Charles to przeczyta. Nigdy nie chciał, żebym została malarką, a teraz ma dowód, że słusznie. – Roześmiała się gorzko. – Pewnie zażąda zwrotu pieniędzy za obraz.

– Kupił go, bo chciał naprawić stosunki z tobą. – Bryce ujął ją za łokieć. – Idziemy do mnie. Bekon, jajka i jeszcze jedna kawa. W tej kolejności.

Dziwnie miło było wiedzieć, że podjął decyzję za nią.

– Lubię bekon mocno przyrumieniony – oświadczyła.

– Będę pamiętał.

Jak wkrótce się przekonała, Bryce posiadał piękny dom przy Beacon Hill. We wnętrzu było chłodno, na pastelowych ścianach wisiała kolekcja sztuki współczesnej, która natychmiast przyciągnęła jej uwagę. Podczas gdy Bryce krzątał się po kuchni, Jenessa obeszła jadalnię i salon, podziwiając jego gust, lecz zarazem szukając rodzinnych fotografii i innych osobistych drobiazgów.

Nic nie znalazła. Kuszący zapach zwabił ją do kuchni, wyposażonej w granitowe stoły i szafki z jasnego dębu, pełnej słońca wpadającego przez okna, za którymi rosły czereśnie. Bryce, w fartuchu zawiązanym w pasie, smażył jajka.

– Mogłabyś wrzucić parę kromek chleba do tosterka? – spytał swobodnie. – Zjemy w oranżerii.

Jenessa zastanowiła się, ile miała poprzedniczek. Z pewnością bardzo wiele.

Odsunęła te myśli i zaniósła gotowe grzanki do oranżerii od południowej strony domu. Figowce i wysokie palmy oplatał szkarłatny i koralowy hibiskus, bambusowe meble kryły się w cieniu. Obok sofy rosły orchidee, ciszę zakłócał szmer niewielkiej fontanny.

– Bekon jest w sam raz – pochwaliła, kiedy zabrali się do jedzenia.

Wyszczrzył zęby.

– Świetnie sobie radzę z przypalaniem potraw.

– Sam gotujesz?

– Kiedy jestem w Bostonie. Dużo podróżuję, więc ta zabawa jeszcze mi się nie znudziła.

Zaczął opowiadać o Europie i Dalekim Wschodzie. Jenessa odezwała się z zazdrością:

– Nigdy wiele nie podróżowałam.

– Z Charlesem też nie?

– Żartujesz?

– Charles nie pomagał ci, odkąd opuściłaś dom?

– Uciekłam. Sprzeciwiłam mu się. On tego nie lubi.

– Zawahała się. – Rozglądałam się za zdjęciami twojej rodziny, ale żadnych nie znalazłam.

– Bo ich nie mam. Czemu utknęłaś w martwym punkcie, Jenesso?

Popatrzyła na niego ze złością.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać o swojej przeszłości – odparła. – To też utknięcie w martwym punkcie, ale ty najwyraźniej nie chcesz mi wyjaśnić przyczyn.

– Ktoś ci już mówił, że jesteś uparta?

Otworzyła szeroko oczy.

– To u nas rodzinne, nie wiedziałaś?

Śmiejąc się, równocześnie sięgnęli po dżem; dłoń

Bryce'a zamknęła się na jej ręce. Popatrzyła zafascynowana na jego długie, silne palce, potem uniosła wzrok. Chwilę później znalazła się w jego ramionach, jej ciało odpowiadało ogniem na ciepło jego ciała. Tak, pomyślała, tak. Tym razem nie będę uciekać.

Niecierpliwie przyciągnęła jego głowę i zaczęła go całować. Jego ręce chwilę błądziły po jej plecach, potem poczuła, jak on rozpina jej biustonosz. Odchyliła się, by mógł pieścić jej piersi. Całe jej ciało wypełniał słodki ból pożądania.

– Kochaj się ze mną, Jenesso... Przysięgam, że cię nie skrzywdzę – szepnęła.

– Dobrze – odparła. – Tak bardzo cię pragnę.

Rozpięła mu koszulę i przytuliła policzek do jego piersi w miejscu, gdzie czuła bijące serce. Delikatny nawet w tej chwili, Bryce zdjął wstążkę, którą związała włosy, i masa niesfornych loków otoczyła jej twarz. Potem wziął ją na ręce i podszedł do sofy. Leżeli spleceni, całując się namiętnie, aż Jenessa poczuła, jak również jej serce zaczyna mocniej bić. Po chwili Bryce opuścił głowę i zaczął pieścić wargami jej piersi, aż jęknęła z rozkoszy. Gładziła jego nagie ramiona, potężną klatkę piersiową i smukłe biodra, na nowo ucząc się jedyne go mężczyzny, przy którym potrafiła być sobą.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął niewielką paczuszkę.

– Zawsze to nosisz ze sobą? – spytała.

– Odwiedziłem cię dzisiaj z powodu recenzji. I dlatego, żeby się z tobą kochać.

– Jesteś bardzo pewny siebie. A myślałam, że po wczorajszym wieczorze już cię nie zobaczę.

– Nie poddaję się tak łatwo.

Rozpiął zamek i zaczął zdejmować dżinsy; Jenessa z niezręcznym pośpiechem zrzuciła buty i zsunęła koronkową bieliznę. Żadnych barier, pomyślała. Nic pomiędzy nami.

Bryce wsunął się między jej nogi, nie przestając pieścić jej piersi. Uniosła ku niemu biodra. Szybko nałożył prezerwatywę. Całując jej rozchylone usta, szepnął:

– Nie mogę dłużej czekać.

– Ja myślę – mruknęła.

Uciszył ją pocałunkiem. Poczowała, jak w nią wchodzi.

– Bryce, ja...

– Spokojnie, kochanie...

Rozczuliło ją to określenie; z zamkniętymi oczyma przyłgnęła do niego, poruszając się w jednym rytmie z nim. Czowała teraz tylko jedno: wdzięczność, że na niego czekała.

Kiedy jednak pchnął drugi raz, nie zdołała powstrzymać westchnienia bólu.

Znieruchomiał w jej ramionach, wciąż jeszcze oddychając ciężko. Potem spojrział na nią zaskoczony.

– Nadal jesteś dziewicą. Jak to możliwe? Wszyscy ci mężczyźni...

Wpiła paznokcie w jego ramiona.

– Tylko się z nimi spotykałam. Żaden z nich nie zawrócił mi w głowie tak jak ty wtedy. I teraz... za każdym razem, gdy się znajdziesz w pobliżu.

Znowu to samo, myślała przerażona. To samo poniżenie, jak gdyby jej niewinność stanowiła powód do wstydu. Sięgnęła po bluzkę, by się okryć, i poszukała ucieczki w gniewie.

– Wolałbyś, żebym szła do łóżka z każdym, kto się nawinie?

– Wolałbym, żebyś powiedziała mi prawdę.

– „Cześć, Bryce, fajnie cię znowu zobaczyć, a przy okazji dalej jestem dziewicą...”?

Patrzył na nią bez wyrazu.

– Przez te wszystkie lata mnie kochałaś.

– Nawet gdyby tak było, chociaż to nieprawda, co w tym takiego złego?

– Nie życzę sobie, żeby ktoś się we mnie zakochał.

– Nie ma obawy, biorąc pod uwagę to, jak się zachowujesz – rzuciła jadowicie. – Co z tobą nie tak? Boisz się przyznać, że masz uczucia?

– Odpuść, Jenesso.

– Ach, więc tobie wolno mówić wszystko, a tylko ja mam trzymać buzię na kłódkę? Co ty sobie wyobrażasz? – Ubierała się drżącymi rękami. – Odśloniłam się dzisiaj przed tobą. Ale co cię to obchodzi? Za bardzo jesteś zajęty ochronieniem siebie, żeby to zauważyć.

– Cholera, wcale nie!

– Nie rozumiesz, co ryzykuję? Żadnych zobowiązań, mówisz, nie ma mowy, żebyś się ożenił. To znaczy, że wcześniej czy później mnie opuścisz. Tak samo jak moja matka i ojciec. Masz pojęcie, co to znaczy zostać porzuconym przez oboje rodziców?

Wstrząsnął nim dreszcz. Podniósł się jednym ruchem i zaczął wciągać spodnie.

– Trafiłam, tak? – spytała cicho. – Nie chciałam...

– Wy, artyści, wszyscy jesteście tacy sami – burknął złośliwie. – Cierpicie na przerost wyobraźni.

– Nie wyobraziłam sobie twojej reakcji! – zawołała,

wstając również. – Nie opowiesz mi o tym? – spytała, ujmując go za rękę. – Co było w tym tak strasznego, że nie możesz o tym mówić?

– Ty przynajmniej miałaś rodziców – odparł lodowato. – Matkę, ojca i macochę.

– Nie wiesz, gdzie są twoi?

Nie zwrócił uwagi na jej słowa.

– Ale jesteś zbyt uparta, żeby dopuścić do siebie Charlesa albo Leonore – ciągnął dalej. – Nic dziwnego, że utknęłaś w martwym punkcie. Ani rodziców, ani życia seksualnego, zakopana na wsi jak pustelnica.

Okrucieństwo tego stwierdzenia sprawiło, że zrobiło się jej zimno. Odwróciła się do niego plecami i niezgrabnie zaczęła zbierać porzucone części garderoby. Okulary od słońca, gazety i torebka leżały na stole.

– Próbowalesz w ogóle szukać swoich rodziców? – spytała beznamiętnie i wyczytała odpowiedź z jego twarzy. – Więc nie potępiaj mnie za coś, czego sam nie zrobiłeś. Trafię do wyjścia.

Przeszła przez pięknie umeblowane pokoje i po chwili znalazła się na stopniach prowadzących na ulicę. Za parę godzin czekało ją spotkanie z Travisem i Julie, więc nie mogła nawet wrócić do hotelu, żeby się wypłakać.

Muszę się jakoś opanować, zachowywać normalnie, myślała, idąc chodnikiem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dwa dni później w Wellspring kurier doręczył Jenesse jakąś przesyłkę. Weszła do wnętrza domu, patrząc na paczkę, jakby była w niej żywa tarantula. Nadawcą był Bryce. Wiedziała, że nie zostawiła u niego żadnego drobiazgu. Co w takim razie jej posyłał?

Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć, pomyślała.

Rozdarła papier i zobaczyła kasetę wideo oraz złożoną kartkę. „Pożyczyłem to od Trávisa”, widniały na niej słowa skreślone zdecydowanym charakterem pisma. „Obejrzyj to sobie. Bryce”.

Kaseta nie była opisana. Zaciekawiona Jenessa włączyła telewizor i wsunęła kasetę do odtwarzacza. I w ciągu paru chwil dała się całkowicie pochłonąć temu, co zobaczyła.

Było to nagranie tańczącej Leonory. Znacznie młodszej niż obecnie, uderzająco pięknej, giętkiej i pełnej wdzięku. Muzyka była atonalna, o skomplikowanym rytmie; z tego mało obiecującego materiału Leonora stworzyła taniec o niezwykłej piękności. Na kasecie nagrano wiele powtórek, kiedy tancerka powtarzała wciąż te same figury. Improwizując, wygładzając, walcząc o to, by wyrazić własne uczucia. Widać było, jak wiele wysiłku ją to kosztuje, lecz przejawiała niezwykle upór, wciąż na nowo podejmowała wyzwanie.

Ostateczne wykonanie miało miejsce przed publicznością w Paryżu przed dziesięcioma laty. Gdy kasetą dobiegła do końca, Jenessa przewinęła ją i zaczęła oglądać od nowa, nie odrywając wzroku od ekranu. Za drugim razem zauważyła więcej szczegółów. Kiedy skończyła oglądać trzeci raz, przyłapała się na tym, że szlocha, jak gdyby miało jej pęknąć serce.

Ta kobieta była jej matką. W żyłach Jenessy płynęło to samo pragnienie, by wykuć prawdę z nieistotnych wydarzeń codziennego życia. Rozumiała doskonale zniechęcenie Leonory, znała cenę dążenia do doskonałości, której nigdy nie udaje się osiągnąć. To prawda, że matka opuściła ją w dzieciństwie, lecz w pewnym sensie żyła w niej zawsze.

Ostatnio Jenessa się poddała, utknęła w miejscu, nie mogąc – a może nie chcąc – się wyrwać? Otarła łzy i przez długą chwilę siedziała zapatrzona w pusty ekran. Potem zadzwoniła do Trávisa.

Wieczorem zasiadła przy kuchennym stole z telefonem przed sobą. Wiedziała, że czeka ją trudne zadanie, wiedziała, że może zostać odrzucona. Wzięła głęboki oddech, sięgnęła po słuchawkę i wystukała numer.

– Leonora Connolly – odezwał się energiczny głos po drugiej stronie.

– Mówi Jenessa.

– Czy coś się stało? Z tobą albo Travisem? – zabrzmiało po ułamku sekundy.

– Nie, wszystko dobrze. Ja... tylko chciałam z tobą porozmawiać.

– Ogromnie się cieszę.

– Zastanawiałam się, czy mogłybyśmy się spotkać – powiedziała szybko Jenessa. – Mogłabym przyjechać do Nowego Jorku. Jeśli chcesz.

– Tak się składa, że będę w Bostonie pod koniec tygodnia; mam warsztaty choreograficzne. Przyjechałaś do miasta, powiedzmy, w piątek po południu?

– Oczywiście.

Szybko omówiły szczegóły, po czym Leonora odezwała się:

– Muszę kończyć, Jenesso, za parę minut mam spotkanie. Ale bardzo się cieszę.

– Ja też – zapewniła jej córka ze łzami w oczach.

Do siły charakteru matki mogła teraz dodać następne zalety: wspaniałomyślność i umiejętność wybaczenia. Odłożyła słuchawkę. Zrobiła pierwszy krok, by zaleczyć rany zadane niemal trzydzieści lat temu.

Pełna nerwowej energii, wyszła przed dom i ścięła narecze róż. W ciągu następnych paru dni odwiedziła schronisko dla kobiet, poszła na basen, zamroziła fasolkę i groszek na zimę oraz usmażyła dżem truskawkowy. W dniu wyjazdu do Bostonu ostrożnie wstawiła do koszyka parę słoiczków.

Szła na przystanek w prostej lnianej sukience, z rozpuszczonymi włosami i koszykiem na ramieniu. Jazda do Bostonu wydała się jej zbyt krótka; z mocno bijącym sercem przybyła na miejsce o dziesięć minut za wcześnie. Weszła do włoskiej restauracji, przekonała się, że Leonora zarezerwowała im stół, i zajęła miejsce w zacisznym kącie.

Otworzyła menu, chociaż wcale nie czuła się głodna.

– Witaj, Jenesso... nie wstawaj.

Leonora bez ceremonii usadowiła się naprzeciw córki. Miała na sobie kostium w śmiałe czarno-białe wzory, jak zawsze wyglądała na opanowaną i chłodną. Przez parę minut gawędziły o drobiazgach, po czym zamówiły potrawy. Kiedy kelner się oddalił, Jenessa wyrzuciła z siebie:

– Widziałam nagranie z twoim tańcem. To z tego powodu przyjechałam.

Leonora spojrzał uważnie.

– Travis dał ci kasetę?

– Nie. – Jenessa zaczerwieniła się gwałtownie. – Bryce.

– Bryce?

– Przysłał mi ją pocztą.

– Jeśli to cię skłoniło do tego spotkania, jestem mu winna podziękowanie.

– To najbardziej uparty i arogancki mężczyzna, jakiego znam!

– Jest też bardzo przystojny. Nawet ja to widzę – dodała Leonora z rozbawieniem.

Jenessa pośpiesznie zmieniła temat.

– Nie o nim chciałam rozmawiać.

Podano sałatki, świeże i apetyczne.

– Możemy rozmawiać, o czym tylko chcesz – zapewniła Leonora. – Bardzo się cieszę, że tu z tobą jestem, i chcę, byś o tym wiedziała.

Łzy napłynęły Jenessie do oczu.

– Dziękuję – szepnęła. – Kłopot w tym, że nie wiem, od czego zacząć. Widzisz, utknęłam z pracą. Nie naprawisz tego, nie proszę cię o to. Ale...

– Czytałam recenzję z twojej wystawy. Pomyślałam wtedy, że to za silne stwierdzenie, że stanęłaś w miejscu.

– Ale prawdziwe. Wiem to od jakiegoś czasu i nie potrafię sobie z tym dać rady. To nagranie... jesteśmy takie podobne! – wybuchnęła.

– Masz rację. Lecz taki temperament to zarazem dar i przekleństwo.

Jenessa popatrzyła na nią z wahaniem.

– Nie wiem nawet, jak cię nazywać – wymamrotała.
– Nie potrafię mówić: mamu, to po prostu nie pasuje.

– Więc może Leonora?

Z bladym uśmiechem Jenessa podjęła:

– No więc, oglądałam to nagranie kilka razy. Zmagasz się z prawdą, próbujesz ją uchwycić. Ale ja jeszcze nie znalazłam swojej prawdy i nie wiem, gdzie jej szukać.

– Zanim ten film został nakręcony, nie mogłam tańczyć przez siedem miesięcy. Nie miałam nic do przekazania. I zdarzało mi się to wiele razy. Jestem głęboko przekonana, że każdy prawdziwy artysta miewa okresy застоju.

Rozmawiały jeszcze długo; Leonora starała się rozwiać wątpliwości córki. Po godzinie, z głową pełną myśli, Jenessa rzuciła trochę nieprzytomnie:

– Wiesz co? Nareszcie zrozumiałam: cały czas mało wałam Charlesa. Raz po raz.

– Stąd to poczucie zagrożenia w twoich obrazach?

– Właśnie. Odkąd pamiętam, zdawałam sobie sprawę, że chciał, bym była kimś innym, podobnym do niego.
– Uśmiechnęła się smutno. – A ja, chociaż z wielkim uporem mu się opierałam, czułam się zagrożona.

– Zdajesz sobie sprawę, że próbował w ten sposób zatrzeć wspomnienie o mnie? Kobiecie, która od niego uciekła i została za to ukarana?

– Ale mu przebaczyłaś, prawda?

– Tak... chociaż długo to trwało. Żałuję tylko, że nie było mnie na miejscu, by cię ochronić. To prawda, uciekłam. Ale lecąc do Paryża, miałam niezłomny zamiar odwiedzić was jak najczęściej. To Charles z gniewu i dumy, oraz miłości, zadbał, żebym nie mogła was spotykać.

– Ja mu nie przebaczyłam – powiedziała Jenessa cicho.

– Zrobisz to, kiedy będziesz gotowa. Skoro ja zdołałam to zrobić, to ty też. Jesteśmy do siebie bardzo podobne. I obie mamy bogate życie wewnętrzne. Dla Charlesa liczą się pozory, to co zewnętrzne.

Jenessa uśmiechnęła się.

– Jak Castlereigh?

– Baszty, fosy i mury obronne...

Wybuchnęły śmiechem. To moja matka, pomyślała nagle Jenessa. Siedzimy razem w restauracji i zaśmiewamy się do łez.

– Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać. Odkąd wróciłaś, traktowałam cię na dystans. Przepraszam.

– Miałaś powody.

– Chciałabym się z tobą znowu spotkać.

– Więc może mnie odwiedzisz w Nowym Jorku? Jak znudzisz się mną, pozostaną ci jeszcze galerie.

Ustaliły termin, po czym Leonora odezwała się:

– Są jeszcze dwie rzeczy, o których ci chciałam powiedzieć. Charles jest bardzo szczęśliwy, że udało mu się znaleźć porozumienie z Travisem, i stara się nawiązać kontakt z tobą.

– Będę pamiętać – odparła Jenessa sucho. – A druga?

– Chodzi o Bryce’a. Travis opowiadał mi o nim. Bryce został przyjęty na stypendium do szkoły prosto z ulicy. Pełen gniewu, szorstki, nieufny. Nie sądzę, żeby ktokolwiek znał historię jego życia prócz niego samego. Pamiętaj o tym podczas następnej sprzeczki. Wkrótce odjeżdża mój pociąg, muszę już iść.

Wstały obie; Jenessa wręczyła dary i ze ściśniętym gardłem patrzyła na radość Leonory. Szybko, zanim zdąży zmienić zdanie, objęła matkę i równie szybko się cofnęła. Nie może się znowu rozplakać.

– Do przyszłego tygodnia – powiedziała.

– Już się nie mogę doczekać.

Leonora wyszła pierwsza, Jenessa po chwili ruszyła jej śladem. Kiedy znalazła się na ulicy, wydawało się jej, że każdy liść otacza świetlista otoczka; kolorowe markizy i żółte taksówki jaśniały jak świeżo wymyte. Jestem szczęśliwa, pomyślała. Pierwszy raz od długiego czasu.

Powłóczyła się trochę po mieście, obejrzała wystawy i pojechała na dworzec. Wychodząc z domu, zdecydowała, że nie odwiedzi Bryce’a. Chociaż na dworcu okazało się, że ma jeszcze dwadzieścia minut do odjazdu autobusu, nie zamierzała zmienić postanowienia.

Usiadła na ławce i naszkicowała przechodnia wędrującego wśród smug światła; ołówek fruwał po papierze. Potem narysowała z pamięci Leonorę idącą w jej kierunku. Jej matkę, która rozumiała ją jak nikt inny.

W południe następnego dnia Bryce pakował się przed wyjazdem do Japonii w sypialni na Beacon Hill. Jego myśli pochłaniała jednak Jenessa.

Musi to przerwać. Stała się jego obsesją, nie przestawał

o niej myśleć dniem i nocą. To chore. Nieracjonalne. I przede wszystkim pozbawione sensu.

Wiedział, co znaczy opuszczenie, jak więc mógł ją wciągać w związek, który w końcu głęboko by ją zranił? Musi o niej zapomnieć. Jeśli będzie trzeba, znajdując inną kobietę.

Zadzwoił telefon. Bryce zmarszczył brwi i sięgnął po słuchawkę.

– Tu Jenessa – usłyszał.

Serce podskoczyło mu w piersi. Upuścił na łóżko skarpetki, które właśnie trzymał w ręce, i odparł banalnie:

– Co za miła niespodzianka.

– Masz chwilę czasu?

Siadł na skarpetkach. Dla ciebie zawsze, pomyślał, lecz na głos powiedział:

– Pakuję się przed wyjazdem, ale znajdę parę minut.

– Chciałam podziękować za kasetę. Dzięki niej spotkałam się z Leonorą w Bostonie. Rozmawiałyśmy przez dwie godziny i było wspaniale. Więc chciałam ci powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

Więc nie dzwoni, by powiedzieć, że chętnie z nim pójdzie do łóżka.

– Jesteś jeszcze w mieście? – spytał ostro.

– Nie, u siebie.

Więc nie dała mu znać, że przyjechała.

– Spotkasz się jeszcze z Leonorą? – zapytał i z furją uświadomił sobie, że pyta ugrzecznionym tonem podstarzałego wujaszka.

– Tak, w przyszłym tygodniu lecę do Nowego Jorku. Więc dziękuję jeszcze raz. A teraz nie będę ci już przeszkadzać.

Teraz to jej głos brzmiał niezwykle uprzejmie. Wściekły na siebie, powiedział:

– Jenessa, gadałem bzdury. Naprawdę chciałbym się z tobą zobaczyć. Może byś przyjechała do miasta w najbliższą sobotę? Poszlibyśmy popływać w morzu, zjedli obiad.

– Nadal jestem dziewicą – odparła ze złością. – To się nie zmieniło. I cię nie kocham. To też pozostało bez zmian.

– A gdybym wynajął domek na Cape Ann? – mruknął schrypniętym głosem. – Z jedną sypialnią? Pojechałabyś ze mną?

Czy nie posunął się za daleko?

– Och, Bryce – odpowiedziała bezradnie. – Sama nie wiem.

Nie to chciał usłyszeć.

– Naprawdę się cieszę, że się pogodziłaś z Leonorą – powiedział wolno. – I że do mnie zadzwoniłaś z podziękowaniem. Tym bardziej że ciągle się kłócimy.

– Nie kłócimy, tylko jesteśmy odmiennego zdania.

– To chyba nie jest odpowiednie określenie na to, co się ze mną dzieje za każdym razem, kiedy cię widzę. Cholera, nie mogę przestać o tobie myśleć.

– Więc spędzimy ten weekend razem? – spytała niepewnie.

– To spore ryzyko.

– Dla mnie tak – odparła ze zwykłą energią. – A dla ciebie?

Powiedz jej prawdę.

– Nigdy nie czułem się taki rozdarty w kontakcie z kobietą. Tak bezradny. Nie wiem, co to znaczy dla nas

obojga. – Przeczesał palcami włosy. – Ja też ryzykuję, Jenesso.

– Dobrze – powiedziała cicho.

– Zrobisz to?

– Tak.

Przyłapał się na tym, że uśmiecha się od ucha do ucha.

– Właśnie sprawiłaś, że poczułem się, jakbym wygrał milion na loterii.

– Mam nadzieję, że pod koniec tygodnia też się będziesz tak czuł.

– W sobotę o dziewiątej rano przyjadę po ciebie do Wellspring.

– Tak wcześniej?

– Mamy tylko jeden weekend.

– Gdybyś zmienił zdanie, znasz mój numer telefonu – przypomniała ponuro.

– Nie zmienię. I ty też nie. Do zobaczenia.

Wcale nie czuł się pewny siebie. Sięgnął po książkę telefoniczną i wykorzystując wszystkie znajomości, zarezerwował na weekend najbardziej luksusowy apartament.

Zamiast lecieć na drugi koniec świata, chętnie pojechałby na Cape Ann od razu. Nie szkodzi, wróci w piątek i spędzi cały weekend z Jenessą. Piękną, wojowniczą Jenessą.

I odważną. Zadzwoiła do matki i spróbowała się z nią pogodzić. Z pewnością nie działała jak ktoś, kto zamierza tkwić w martwym punkcie do końca życia. A on? Nigdy, ani razu, nie próbował odszukać swoich rodziców.

Wiedział dlaczego. Nie mógł znieść wspomnień o awanturach i biciu przez ojca. Kochał matkę i uważał za oczywiste, że ona też go kocha. Ona tymczasem zostawiła

go pewnego dnia, jak się porzuca coś niepotrzebnego. Stłumił w sobie ból spowodowany tą zdradą. Lecz czy nie dlatego tak bardzo unikał stałych związków?

Skoro nigdy nie opowiedział o tym Travisowi, jak mógłby powiedzieć Jenessie?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy w sobotę rano Bryce parkował wóz przed domem Jenessy, padał drobny, uporczywy deszcz. Jemu bynajmniej to nie przeszkadzało. Nie miał nic przeciwko temu, by spędzić cały weekend w łóżku.

Co Jenessa by na to powiedziała?

Przebiegł przez deszcz i zastukał do drzwi.

– Wejść – usłyszał.

Na podłodze przy drzwiach stała spakowana torba. Jenessa wynurzyła się z sypialni z niepewnym uśmiechem.

– Paskudna pogoda na leżenie na plaży.

– Jutro na pewno się przejaśni – odparł, napawając się jej widokiem.

Wąskie białe spodnie, obcisły błękitny sweter i rozpięta jedwabna bluzka. Nie patrzyła mu w oczy.

Podszedł, objął ją i pocałował mocno w usta. Stała sztywno, nie poddając się jego uściskowi.

– W jednej chwili chcę zerwać z ciebie ubranie, a zaraz potem uciekać, gdzie pieprz rośnie – wyznała niechętnie.

Uniósł jej podbródek tak, że musiała mu spojrzeć w oczy, i najbardziej przekonującym tonem powiedział:

– Nie możesz uciekać, jeśli chcesz ruszyć z miejsca.

Zamrugła.

– Pewnie masz rację.

– Kiedy postanowisz to skończyć, ostrzeż mnie wyraźnie – powiedziała zduszonym głosem.

– Jenessa, nawet jeszcze nie zacząłem! Przysięgam, że nie rzucę cię z dnia na dzień, za kogo ty mnie uważasz?

Złapała go za guzik koszuli.

– Nie znam cię. Właściwie nic o tobie nie wiem.

– Więc dlatego wyjeżdżamy razem, żeby się lepiej poznać – odparł łagodniej. – Tę torbę zabierasz?

– Tak, i farby. Nigdzie się bez nich nie ruszam.

– Więc chodźmy. W wozie mam termos z kawą i ciastka malinowe Wilmy.

– Wiesz, jak trafić do mojego serca – zaśmiała się. I dodała poważnie: – Naprawdę chcesz się więcej o mnie dowiedzieć?

– Owszem – przytaknął, wiedząc, że to prawda, której konsekwencji nie potrafi przewidzieć.

Stanął na palcach, pocałowała go lekko w policzek i cofnęła się, nim zdążył zareagować.

– To dobry początek. Chodźmy.

Cztery godziny później Bryce zaparkował jaguara przed cedrową chatą otoczoną wiecznie zielonymi krzewami. Ocean był gładki, jego cichy szmer dobiegał aż tutaj. Nad ich głowami krzyknęła mewa.

Trudno sobie wyobrazić coś odleglejszego od nędznej czynszówki, gdzie mieszkał w dzieciństwie z rodzicami. Czemu pomyślał o tym teraz?

Wysiadł z wozu, przeciągnął się i zaczął wyjmować torby z bagażnika. Wiedział dokładnie, czego pragnie i jak zamierza to osiągnąć.

– Weźmiesz farby? – rzucił swobodnie.

Jenessa milczała od obiadu. Bryce wszedł do chaty,

obejrzał kamienny kominek, podłogi z polerowanego drewna i wygodne kanapki pod wysokimi oknami wychodzącymi na ocean. Szybko opuścił rolety, po czym złapał Jenessę i bezceremonialnie rzucił na łóżko.

– Mam cię – powiedział ze śmiechem.

– Ja...

– Jest pora na rozmowy i jest pora na inne rzeczy, Jenesso. Pocałuj mnie.

– Zachowujesz się jak dyktator.

– Zbyt długo czekałem: całych dwanaście lat.

– Więc będziemy się kochać? – spytała, otwierając szeroko oczy. – Nareszcie?

– Taki jest plan. A może byś zamknęła oczy i pocałowała mnie tak, jakbyś zawsze marzyła, by się znaleźć ze mną w łóżku?

Zaśmiała się bez tchu.

– Ależ tak właśnie jest.

Dotyk jej delikatnych piersi doprowadzał go do szaleństwa. Pachniała słodko, rozchyliła kusząco usta. Poczł, jak jego ciało się napręży, i zmienił pozycję, czekając, by Jenessa uczyniła pierwszy krok. Dobrowolnie i bez strachu.

Objęła go za szyję.

– Tym razem pozwolisz, żeby się to stało?

– Do samego końca.

Przyciągnęła do siebie jego głowę i lekko muskała językiem jego wargi, aż zdawało mu się, że lada moment eksploduje z niecierpliwości. Dopiero po chwili zaczęła delikatnie i zmysłowo pieścić wargami jego usta. Kiedy go w końcu pocałowała – śmiało i namiętnie – Bryce'owi zakręciło się w głowie. Uniósł się lekko, by miała swobodę ruchu.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa – szepnął.

– Mamy na sobie zbyt wiele ubrań – odparła tylko.

Podniósł się na łokciu i zdjął jej bluzkę, potem ściągnął sweter i stanik. Rozpiął spodnie, na koniec uwolnił ją od jedwabnej bielizny. Leżała spokojnie, z zarumienionymi policzkami, pozwalając mu napawać się swoim widokiem.

– Jesteś jedynym mężczyzną, który widział mnie taką – powiedziała po chwili.

– Czuję się, jakbyś była moją jedyną kobietą – odparł, rozpiął koszulę i resztę ubrań.

Nim skończył, gładziła go po piersi. Zamknął na chwilę oczy, dając się ponieść wrażeniom. Nachyliła głowę i zaczęła pieścić językiem jego ciało. Bryce wsunął palce w jej włosy. Widok jej spadzistych ramion i smukłych pleców wprowadził go w trans; czy kiedykolwiek się nią nasyci?

Kiedy czuł, że dłużej już nie wytrzyma, uniósł ją i zaczął całować do utraty tchu. Odnalazł jej piersi, łagodne wzniesienie brzucha, uda; pieścił je kolejno, chcąc się odwdzięczyć za to, co otrzymał od niej; pieścił ją palcami, ustami i językiem, hamując własną namiętność, żeby rozpalić jej pożądanie. W nagrodę zobaczył w jej oczach płomień, usłyszał przyśpieszony oddech.

Kiedy się upewnił, że jest gotowa, sięgnął po paczuszkę, którą położył wcześniej obok łóżka, a potem wszedł w nią ostrożnie, starając się to robić jak najdelikatniej.

Jej rysy drgnęły z bólu; chciał się wycofać, lecz Jenessa naparła biodrami. Przez parę sekund wydawało się im obojgu, jakby czas stanął w miejscu. Patrzyła mu prosto w oczy; zaskoczenie i duma na chwilę przesłoniły

pożądanie. Ledwie słyszalnie szepnęła jego imię, a potem jeszcze raz.

Nie wiedzieć czemu, ogarnęła go skrucha.

– Ofiarowałaś mi wielki dar, Jenesso – powiedział.

Ogarnęła go czułość. Było to dla niego uczucie równie nowe, jak dla Jenessy to, czego właśnie doświadczała.

Znowu zaczęła się pod nim rytmicznie poruszać; natura domagała się swoich praw. Pieścił Jenessę, aż osiągnęła szczyt rozkoszy, i dopiero potem w nią wszedł.

Jego okrzyk mieszał się z jej jękiem; opadł na nią, dysząc ciężko. Czuł szybkie bicie jej serca, zdumiewające poczucie zjednoczenia. Objął ją ramionami i przytulił do siebie.

Zrozumiał w głębi serca, że nigdy już nie pozwoli jej odejść.

Odepchnął od siebie tę myśl. Kiedy doszedł do siebie, uniósł głowę i obiecał:

– Następnym razem okażę więcej subtelności.

– Było doskonale – odparła z tak promiennym uśmiechem, że ścisnęło go w gardle. – Masz piękne ciało – ciągnęła dalej, przesuwając palcami po jego szyi.

Czuł, że w jego życiu zachodzi jakaś głęboka zmiana – a dokonała jej jedna kobieta. Przecież tylko poszedłem z Jenessą do łóżka, powiedział sobie. Kiedy będę się z nią kochał następnym raz, będzie zwyczajnie. Przyjemnie, oczywiście, ale bez szaleństw.

Leżała na ciemnych prześcieradłach, giętka i smukła. Jej widok na nowo obudził w nim głód. Wyciągnęła do niego ramiona – drobny gest, który sprawił, że Bryce nie potrafił się jej dłużej opierać.

– Tak bardzo cię pragnę – szepnął z twarzą wtuloną w jej szyję.

Chwilę później całował ją, jakby robił to pierwszy raz.

Tym razem Jenessa była bardziej pewna siebie, zmysłowa i figlarna. Śmiech mieszał się z przyśpieszonym oddechem i rosnącą napiętością ich ciał, aż raz jeszcze zanurkowali w światło i rozkosz tak wielką, że graniczyła niemal z bólem.

Bryce leżał nieruchomo. Zwyczajnie? Nic, co miało związek z Jenessą, nie było zwyczajne. Wcześniej rozmawiał z nią o ryzyku, jakie niesie ze sobą romans. Czy jednak naprawdę wiedział, o czym mówi? Czy poważnie wziął pod uwagę, że każdy romans musi się kiedyś skończyć?

Nie zniósłby myśli, że Jenessa znajduje się w ramionach innego mężczyzny.

– O czym myślisz, Bryce? – spytała cicho.

Podniósł wzrok, odgarnął jej włosy z twarzy.

– Obiecałem, że będę ci wierny – powiedział otwarcie. – Ale nie przyszło mi do głowy poprosić o to samo ciebie.

– Oczywiście, że będę. – Zagryzła wargę. – Póki każde z nas nie pójdzie w swoją stronę.

– Nie mówmy o tym teraz. – Przesunął palcem po jej wardze. – Wiem, że to zabrzmi przyziemnie, ale umieram z głodu.

– Seks pochłania wiele kalorii – wyjaśniła, jakby nie robiła nic innego przez całe dorosłe życie.

Wzięli razem prysznic, po czym poszli szukać czegoś do jedzenia. W czasie posiłku Jenessa opowiedziała o wizycie w Nowym Jorku: jak zwiedzała galerie i studio,

gdzie jej matka uczy nowoczesnego tańca; jak rozmawiały bez końca, nadrabiając lata zaległości; jak objęły się serdecznie przy pożegnaniu.

– Tyle ci zawdzięczam – zakończyła.

– Wcześniej czy później zrobiłabyś to sama – odparł lekko.

– Raczej później. Czemu tak ci trudno przyjąć wdzięczność?

Bo to kolejny krok do zbliżenia, a z tym nie umiem sobie poradzić. Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Miło mi, że mogłem się przydać. – Pogładził ją czubkami palców i zapytał: – Skończyłaś? Wracamy do łóżka?

Jak można się spodziewać, kochali się przed kolacją. Odbyli także szalone zjednoczenie w środku nocy, w efekcie czego ostatni zjawili się na śniadaniu. Potem Jenessa zasnęła na sofie. Bryce siedział na krześle, z pozoru czytając, w rzeczywistości przyglądając się jej śpiącej twarzy, jakby szukał odpowiedzi na pytanie, co się z nim dzieje. Wiele się o niej dowiedział: że jest odważna; umie zaufać drugiemu człowiekowi i odsłonić się przed nim.

Dawno temu obiecał sobie, że nigdy się nie ożeni, ponieważ wiedział, jak głębokie rany potrafią sobie zadać najbliżsi ludzie. Potem przysiągł też, że nigdy nie będzie miał dzieci. Nie był naiwny; znał szczęśliwe małżeństwa, na samą jednak myśl o zobowiązaniach czuł się złapany w pułapkę, wystawiony na zranienie.

Ucieszył się, gdy Jenessa po przebudzeniu zaproponowała spacer po plaży. Po powrocie wyciągnęła farby, a trzy kwadransy później spytała nieśmiało:

– Chcesz zobaczyć?

Namalowała akwarelami morze i plażę: piasek przechodzący w ocean, ocean rozplywający się we mgle. Żadnych ostrych granic, wszystko przenikające się nawzajem.

– Tak się czuję, kiedy się kochamy – powiedział.

– Więc rozumiesz.

– Dasz mi ten obraz?

– Miałam nadzieję, że poprosisz.

– Za parę godzin musimy wracać – ciągnął dalej szorstko. – Chodź jeszcze do łóżka.

– Miałam nadzieję, że o to też poprosisz.

Kochali się dziko i namiętnie, jak gdyby każde chciało odcisnąć ślad w pamięci drugiego. Tuląc ją do siebie, Bryce powiedział:

– Nie będzie mnie w mieście przez cały tydzień. Mogę w piątek przyjechać do ciebie i zostać na noc?

Chciał kochać się z nią na jej własnym terytorium.

– Więc muszę czekać aż tak długo? – spytała, mrugając kokieteryjnie. – Nie mam wielkiego porównania – dodała po chwili, rumieniąc się – ale jesteś najwspanialszym kochankiem, jakiego mogłabym sobie wymarzyć.

– Nigdy sobie nie wyobrażałem, że będzie mi z tobą tak dobrze.

Przez chwilę wydawało mu się, że po jej twarzy przebiegł skurcz bólu. Usiadła na łóżku i spytała lekko:

– Kto idzie pierwszy pod prysznic?

Bryce przeciągnął się i ziewnął.

– Ty. Nie chce mi się nic robić.

– Kiedy się tak prężysz – odparła gwałtownie – mam ochotę się na ciebie rzucić. To nieprzyzwoite, biorąc pod uwagę, co robiliśmy przed chwilą.

– Piątek jest już za pięć dni.

Zatrzepotała rzęsami.

– To sto dwadzieścia godzin. I nie znoszę zimnej wody.

Patrzył za nią, gdy nago ruszyła w stronę łazienki. Ten weekend sprawił, że zapragnął jej jeszcze bardziej.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Poniedziałkowy ranek zastał Jenesse twarzą w twarz z pustym płótnem. Żaden ze szkiców nie odzwierciedlał w najmniejszym stopniu wypełniających ją emocji. Matka, której nigdy nie знаła; pierwszy kochanek: te doświadczenia zastąpiła teraz życzliwość Leonory, pożądanie Bryce'a. Czuła bolesną potrzebę, by wyrazić to wszystko za pomocą barw, kształtów i faktur. Śmiało, Jenesso.

Spróbowała. Na palcu miała kadmową czerwień, kobaltowy błękit, chromową żółć oraz najgłębsze zielenie i purpurę; starała się, lecz nóż i pędzel, ręka i oko nie potrafiły oddać jej uczuć. Za bardzo naciska.

Włączyła meksykańską muzykę, tańczyła chwilę po pokoju i spróbowała znowu. Malując i zamalowując, zdrapując i nakładając nowe warstwy, uzyskała wreszcie sugestię tego, o co jej chodziło. Znaczna część nie nadaje się do niczego, stwierdziła ponuro, czując skurcze w ramionach i wilczy głód. Zerknęła na zegar. Wpół do piątej? Niemożliwe.

Wczoraj rano Bryce karmił ją w łóżku melonem; sok spływał mu po palcach. Bryce, który szturmem zdobył jej ciało i zmienił nieodwracalnie jej duszę.

Wiedziała, że pewnego dnia ją opuści i odejdzie do innej kobiety. Zostanie opuszczona, gdy poznała rozkosz zjednoczenia: sama myśl o tym śmiertelnie ją przerażała.

Co więc próbuje namalować naprawdę: namiętność

czy lęk? Umyła pędzle, wykrzywiła się do obrazu i poszła do kuchni. Gotowe danie z makaronu i sera oraz sałatka z własnych warzyw odrobinę poprawiły jej humor. Spędziła wieczór, opiekując się dziećmi sąsiadów, Susan i Davidem. Trzej mali chłopcy w wieku poniżej dziesięciu lat nie dali jej ani przez chwilę rozmyślać o opuszczeniu, twórczości i Brysie.

Kiedy wróciła tuż przed jedenastą, na sekretarce czekała nagrana wiadomość. „Jeśli dotrzesz do domu przed północą, oddzwon’’, poprosił Bryce, po czym wyrecytował numer hotelowego telefonu. Pośpiesznie wystukała numer.

– Bryce Laribee.

– Żałuję, że cię tu nie ma.

– Leżysz w łóżku?

– Stoję przy stole w kuchni.

– Kochałaś się kiedyś na kuchennej podłodze?

– Wiesz, że nie. Ale chętnie bym spróbowała. W najbliższy weekend.

W paru szczegółowych zdaniach opowiedział, co zamierza z nią robić. Z płonącymi policzkami odpowiedziała słabo:

– Będę musiała pozamiatać.

– Wracam w piątek wczesnym popołudniem. Może byś zarezerwowała stolik na kolację gdzieś niedaleko?

– Już to zrobiłam.

– Dobrze gotują? – spytał sceptycznie.

– Rewelacyjnie... szefowa kuchni jest blondynką...

– Miałaś malować, a nie stać przy garnkach.

– Nawet mi o tym nie wspominaj – burknęła groźnie.

– Jak interesy?

Gawędzili jeszcze pół godziny, po czym Bryce rzucił nagle:

– Lepiej idź już spać. Wyśpij się porządnie przez ten tydzień.

Kolana zrobiły się jej miękkie, serce ścisnęło się z tęsknoty.

– Skończę tę rozmowę tak, jak ją zaczęłam: żałuję, że cię tu nie ma.

– Będę już niedługo. Trzymaj się.

Połączenie zostało przerwane.

Będę już niedługo. To nie słowa mężczyzny, który zamierza kogoś opuścić.

Zadzwoił znowu w środę. Chociaż regularnie odwiedzała schronisko dla kobiet i znalazła czas na pójście na basen, wiele czasu spędziła też w pracowni. Zaczęła kilka obiecujących obrazów, po czym je zniszczyła jako niezadowolające. W czwartek wieczorem rozmawiała z Leonorą, która doradzała jej wytrwałość, a kiedy będzie padać z nóg, jeszcze trochę więcej wytrwałości.

– Wielkie dzięki – burknęła ironicznie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę. To bardzo miło z tobą rozmawiać.

– Mnie też – odparła Jenessa niekonsekwentnie, ale szczerze.

– Mogę spytać, czy podziękowałaś Bryce'owi za kasetę?

– Tak.

– Dobrze. W tej sprawie też nie powinnaś się zbyt łatwo poddawać. Z kimś przeciętnym nigdy nie byłabyś szczęśliwa. Mój błąd polegał na tym, że pomyliłam energię Charlesa z głębią.

– Więc Bryce ma jedno i drugie, tak?

– Głębiej. I coś mrocznego, tak.

Jenessa zadrżała.

Po skończonej rozmowie poszła do pracowni i ustawiła przed sobą cztery płótna. Zbyt dużo podstawowych kolorów, oceniła, przyglądając im się zmrużonymi oczami. Jutro spróbuje dodać więcej mroku i zobaczy, co z tego wyniknie.

Następnego dnia od bladego świtu pracowała jak opętana. Błękitna czerń, czerń hebanowa i lśniąca czerń chaotycznie mieszały się na płótnie niczym splątane cienie, muśnięte gdzieś bielą i szkarłatem podobnym do krwi. Odłożyła gwałtownie pędzel: czerń, biel i czerwień – co za banał, pomyślała zdesperowana. Co to niby jest? Próba wyrażenia uczuć? Praca w toku?

Mimo wszystko znajdowała się chyba o krok bliżej celu. Zostawiła płótno na sztalugach i dziwnie wyczerpana i rozedrgana wyszła do ogrodu. Pielenie jak zwykle pozwoliło jej odzyskać równowagę. Buraki, które zasiała na miejsce wyrwanych przez Bryce'a, pięknie rosły. Dziś w nocy będzie go miała w swoim łóżku. Ale tylko na trochę, nie wolno jej o tym zapomnieć. Był mężczyzną mającym wiele sekretów. Nie o kimś takim marzyła jako o towarzyszu na resztę życia.

W okolicach piątej po południu Jenessa dygotała z nerwów. Co będzie, jeśli tym razem nie zaznają takiej rozkoszy, jak podczas ubiegłego weekendu? Nie była jedną z wyrafinowanych kobiet interesu, z jakimi miał do tej pory do czynienia, lecz artystką, która zaszyła się na

uboczu. I która kompletnie straciła kontrolę nad swoim życiem, odkąd go poznała.

Zagryzła wargi, poprawiła ostatnie drobiazgi na stole nakrytym na ganku. Sos do makaronu udał się doskonale, sałatkę zrobiła z własnych warzyw, mus czekoladowy był gładki jak jedwab. Miała na sobie spódnicę w kwiaty i skromny top, włosy spięła w węzeł na czubku głowy, parę swobodnych loków łaskotało ją w szyję. A jeśli Bryce miał wypadek? A jeśli straciła talent i już nie umie malować?

Jęknęła ze zniecierpliwieniem i naląła sobie kieliszek wina. Jakiś samochód zaparkował na podjeździe. Z bijącym sercem podbiegła do drzwi. Bryce wbiegał po dwa stopnie z marynarką przerzuconą przez ramię, torbą w jednej ręce i wielkim pękiem różowych róż w drugiej. Na jej widok zatrzymał się jak wryty.

– Jesteś piękniejsza za każdym razem, kiedy cię widzę – powiedział.

Wszystkie troski nagle się rozwiały; wyraz jego oczu upewnił ją, że jest piękna i godna pożądania. Wszedł do środka, rzucił torbę na podłogę, a marynarkę i róże na najbliższe krzesło, po czym wziął ją w ramiona. Pocałunek był długi, gruntowny i namiętny.

– Bałam się, że już mnie nie pragniesz – wyznała Jenessa, wzdychając z ulgi.

– Pragnę cię aż za bardzo i z pewnością o tym wiesz. – Uśmiechnął się do niej. – Ale najpierw muszę wziąć prysznic i się ogolić, bo jestem prosto z drogi. Kieliszek wina też by się przydał.

– Możesz dostać wszystko, czego zapragniesz – odparła z szelmowskim uśmiechem.

Wtulił twarz w jej szyję.

– Czy przed kolacją pokażesz mi, jak duże jest łóżko w sypialni?

– Mamy na to cały weekend. – Zaśmiała się uszczęśliwiona. – Łazienka jest tam, zaraz przyniosę ci ręczniki.

Zdjął krawat i rzucił go na marynarkę.

– Mogłabyś mnie wcześniej jeszcze raz pocałować.

– Jeśli to zrobię, nie trafię do łazienki, nie mówiąc już o szukaniu ręczników.

– Zaryzykujemy – odparł Bryce, przywierając ustami do jej ust.

Kiedy ją wypuścił, drżała na całym ciele.

– Komu potrzebne wino, kiedy ty tu jesteś? – powiedział, idąc do łazienki.

Jenessa uśmiechając się niemądrze włożyła różę do wazonu, naląła drugi kieliszek wina i zaniósła go do sypialni. Rozebrała się, po czym włożyła krawat i marynarkę Bryce'a i upozowała się na łóżku w pozie godnej rozkładówki w jakimś magazynie dla panów. Na koniec wsunęła różę za ucho.

Bryce na jej widok uśmiechnął się szeroko.

– Wyglądasz w tej marynarce znacznie lepiej ode mnie. Róża też pasuje.

– Cieszę się, że ci się podoba.

– Rozpuść włosy – szepnął.

Usiadła, zsunęła marynarkę i wyjęła spinki z włosów. W miękkim wieczornym świetle jej skóra miała odcień kości słoniowej. Wyciągnęła do niego rękę.

– Chodź do mnie, Bryce.

Nie dał się dwa razy prosić. Całował ją i pieścił, jakby chciał się nią nasycić po rozstaniu; odpowiadała tym

samym. Orgazm przyszedł jak wybuch; ledwie zdolna oddychać, Jenessa uchwyciła się go, jak tonący chwytając się zbawczej liny.

– Mój Boże, kobieto – szepnął – co ty ze mną robisz?

Podał jej kieliszek z winem, potem wziął swój.

– Za weekendy – wznosił toast.

– Za nas – odparła, wysoko unosząc podbródek.

– Za najpiękniejszą kobietę na świecie – dorzucił

Bryce z błyskiem w oku.

– I najseksowniejszego mężczyznę.

– Tu nie chodzi tylko o seks – zaprotestował.

Nie spodziewała się po nim podobnego wyznania. Ze ściśniętym gardłem wymamrotała:

– Wiem.

– Ale nie pytaj mnie o co.

– Chodźmy teraz coś zjeść – powiedziała, siadając na łóżku.

Był to jeden z tych posiłków, kiedy wszystko układa się idealnie. Jedli przy świetle świec, wśród zapachów dolatujących z ogrodu i cichego nawoływania sów. Chwilę gawędzili przy kawie, potem razem sprzątnęli ze stołu. W pewnym momencie Jenessa sięgnęła po patelnię; Bryce chwycił ją i nagle kochali się, oparci o drzwi lodówki. Obejmując go ramionami za szyję, szepnęła szczęśliwa:

– To lepsze niż kuchenna podłoga.

– Tę zachowałem na jutro.

Przytuliła się do jego ramienia.

– Tak się cieszę, że tu jesteś, Bryce – powiedziała stłumionym głosem. – Tęskniłam za tobą cały tydzień.

Odsunął się nagle.

– Może powinniśmy iść spać.

– Powiedziałam coś nie tak?
– Cholera, nie wiem! Ja po prostu nie... nie chcę nawet o tym myśleć.

– Nie będę ukrywać przed tobą swoich uczuć, Bryce.
– Nie proszę o to. Ale bądź ostrożna.

Jak ma się bronić przed tym, co czuje? Żałując, że nie trzymała języka za zębami, Jenessa posprzątała ze stołu, a potem poszła do łazienki. Kiedy wyszła, mając na sobie najmniej seksowną koszulę nocną, bo zapomniała wyprasować jedwabną piżamę, Bryce leżał już w łóżku.

Wyraźnie czuł się tu jak u siebie w domu. Kiedy wspięła się na łóżko, przytulił ją do siebie.

– To wszystko jest takie nowe dla nas obojga – powiedział. – Wiedzieliśmy, że nie będzie zwyczajnie, ale nie sądziłem, że aż tak bardzo. Więc proszę, bądź dla mnie wyrozumiała.

– Dobrze – obiecała i pięć minut później już spała.

Bryce zbudził się około trzeciej nad ranem. Leżał nieruchomo, nasłuchując cichego oddechu Jenessy. Zwinęła się w kłębek, przytulona plecami do jego piersi. Obejmował ją w pasie ramieniem, czując, że z chęcią kochałby się z nią znowu.

Odsunął się ostrożnie i zapatrzył w ciemności. Może powinien zastanowić się lepiej, nim się zaangażował w ten romans? Jenessa nie przypominała innych kobiet: była wrażliwa, miała w sobie głębię uczuć, która niekiedy śmiertelnie go przerażała.

Pół godziny później, zupełnie rozbudzony, podniósł się z łóżka. Włożył bokserki i poszedł do łazienki. W drodze powrotnej, wiedziony nagłym impulsem, zajrzał do

pracowni. Kilka obrazów stało na sztalugach. Wymacał w ciemności włącznik i zapalił światło, a potem mrugając od nagłego blasku, przebiegł spojrzeniem po czterech jaskrawych abstrakcjach. Jego wzrok zatrzymał się na obrazie w głębi. Serce zabiło mu mocno. Czując nagły chłód, splótł ramiona na piersi i wtulił głowę w ramiona. Przez pełną minutę stał, jakby czekając na cios.

Jakim cudem kawałek pomazanego farbami płótna może robić tak wielkie wrażenie? Wirujące cienie namalowane przez Jenessę uosabiały koszmar jego dzieciństwa: życie pod jednym dachem z mężczyzną, który w każdej chwili mógł wybuchnąć gniewem. Smugi czerwieni – och, to łatwe, pomyślał ponuro Bryce. Fletcher lubił widok krwi. Upiorne pasma bieli wśród cienia – czy nie była to jego matka? Uśmiechała się tak promiennie, pamiętał. Fletcher sprawił, że stała się cieniem samej siebie.

Upiory jego przeszłości, pomyślał z dreszczem, czując w piersi przesywający ból. Wywołane przez kobietę, z którą się kochał. Zbieg okoliczności? A może Jenessa aż tak wiele o nim wie? Czuł się, jakby jego tajemnice, ukrywane od wielu lat, wystawiono nagle na światło dzienne.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Cichy szelest za jego plecami sprawił, że Bryce odwrócił się gwałtownie. W wejściu stała zaspana Jenessa.

– Zbudziłam się i nie wiedziałam, gdzie jesteś – wyjąkała niepewnie.

Patrzył na nią bez słowa z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Ze wszystkich emocji kłębiących się w jego piersi gniew był najsilniejszą. Zdecydował się w ułamku sekundy. Musi jej powiedzieć wszystko.

– Nigdy nie wspomniałem ani słowem o tym, gdzie dorastałem. Kim ty jesteś, czytasz w myślach? – wyrzucił z siebie gwałtownie.

Drgnęła, przenosząc spojrzenie z Bryce'a na płótno i z powrotem.

– Ja tylko...

– Namalowałaś wszystko. Strach. Przemoc. Picie, wrzaski, przekleństwa. To, jak żyła z tym łajdakiem dzień po dniu, miesiąc po miesiącu.

– Jakim łajdakiem? – szepnęła Jenessa.

– Moim ojcem.

Nagle odwrócił się plecami do obrazu; nie mógł dłużej znieść jego widoku.

– Fletcherem Laribee – ciągnął dalej, podchodząc do niej. – To z jego powodu nigdy się nie ożenię i nie będę miał dzieci.

Jenessa nie cofnęła się, chociaż pobladła mocno.

– Co takiego zrobił, Bryce? – zapytała. – Co się stało z twoją matką?

– Z Rose? Och, zostawiła mnie w schronisku dla kobiet i nigdy nie wróciła. Pewnie zapomniała – roześmiał się z goryczą. – A myślałem, że mnie kocha. Kiedy zaczęli szukać mojego ojca, okazało się, że on również zniknął. Może uciekli razem.

Jenessa wyciągnęła do niego rękę, ale Bryce cofnął się gwałtownie.

– Jak ci się udało to namalować? – spytał surowo.
– Gadałem przez sen?

– Nie! Nie malowałam ciebie...

– Wychodzi na to, że znasz mnie lepiej niż ja sam – rzucił szorstko.

I nienawidzi mnie za to, pomyślała Jenessa. Żałowała, że zostawiła obraz na widoku.

– Twój ojciec był porywczy? – spytała ostrożnie.

– Można tak powiedzieć. Jeśli bicie matki uznać za dowód porywczosci.

Jenessa z wysiłkiem opanowała drżenie głosu.

– Ciebie też bił?

– Tylko kiedy plątałem mu się pod nogami. Miałem tylko cztery lata, jak się rozstali. Byłem za mały, żeby bronić matki, ale wystarczająco duży, by żyć w ciągłym strachu. Na trzeźwo nie był taki zły, ale pijany zmieniał się w potwora. To dlatego nigdy nie piję więcej niż kilka piw.

Zbyt wstrząśnięta, by pamiętać o taktownym zachowaniu, Jenessa spytała:

– Boisz się stać taki jak on?

– Noszę w sobie jego geny. Wolę nie mieć dzieci niż budzić w nich taką grozę, jaką on budził we mnie.

Wydawało się, że gdy raz zaczął mówić, musi opowiedzieć wszystko do końca.

– Miesiąc po moich czwartych urodzinach spał się do nieprzytomności i rzucił się na mamę. Wziąłem samochodzik, którym się bawiłem, zardzewiałą blaszaną zabawkę, i uderzyłem go w nogę ze wszystkich sił. Walnął mnie tak, że przeleciałem przez cały pokój, a kiedy doszedłem do siebie, mama leżała na podłodze zakrwawiona, a jego nie było... później tego dnia zabrała mnie do schroniska.

– I zostałeś zupełnie sam...

– Nie proszę, żebyś się nade mną użalała – burknął.
– Nigdy nie zamierzałem ci o tym opowiadać, ale kiedy zobaczyłem ten obraz... Przynajmniej zrozumiesz, czemu nigdy się nie zdecyduję na małżeństwo.

– Przecież to się nie musi powtórzyć, wiele badań wskazuje... – zaczęła.

– Wiem, co mówię – odparł szorstko. – I żadne uczone wywody mnie nie przekonają.

– Więc ty też utknąłeś w martwym punkcie – stwierdziła.

Nie zamierzała tego mówić. Uniosła wyżej brode i czekała na reakcję Bryce'a. Wciągnął ze świstem oddech.

– Nie boisz się mnie? – zapytał.

– Nie.

– A jeśli przyszłoby mi do głowy wypić tę butelkę wina, i jeszcze jedną? Co byś zrobiła?

– Retoryczne pytanie, Bryce. Nie zrobisz tego.

- Jesteś bardzo pewna siebie.
- Zmarzęś – rzuciła łagodnie. – Wracajmy do łóżka.
- Zostanę tu jeszcze chwilę – rzucił chłodno. – Idź

sama.

Zawahała się przez mgnienie. Kim była, żeby próbować przełamać mur, jakim się otoczył?

- Dlaczego nigdy nie próbowałaś szukać rodziców?
- Po co?

– Żeby się rozliczyć z przeszłością, która trzyma cię na uwieczni.

- Czytasz za dużo popularnej psychologii – zadrwił.

– Dzięki tobie nawiązałam kontakt z matką – odparła spokojnie. – Teraz twoja kolej. Znasz jej nazwisko, nazwę schroniska, daty. Odszukaj ją i z nią porozmawiaj. Jeśli się odważysz.

Podszedł o krok.

- Uważaj, co mówisz.

Nie cofnęła się.

- Nie boję się ciebie.

- Jesteś zbyt ufna.

– Kochałam się z tobą – odparła ze złością. – I dowiedziałam się wiele o tobie.

Nie była tak spokojna, jak mogła się wydawać; drżała w cienkiej koszuli. Bryce zdał sobie sprawę, że nadszedł moment wyboru. Może z nią zostać lub ją opuścić na zawsze.

- Trzeba przyznać, że nie brak ci odwagi – burknął.
- Warto o ciebie walczyć.

Co miał na to odpowiedzieć? Chciał podejść i wziąć ją w ramiona, lecz mruknął tylko:

- Nie wiesz, o czym mówisz.

– Powiem ci coś, o czym nie wspomniałam nikomu – rzuciła gniewnie. – Wiem, że to nic w porównaniu z tym, co spotkało ciebie, ale dlatego właśnie nie mogę wybaczyć mojemu ojcu. Kiedyś, miałam pewnie z siedem lat, tańczyłam wieczorem przy krzakach bzu w Manatuck... wyobrażałam sobie, że jestem księżniczką. Ojciec to zobaczył, złapał mnie i potrząsnął, jakbym była szmacianą lalką. Jeszcze wiele dni później miałam siniaki. Potem opanował się i powiedział, żebym nigdy więcej tego nie robiła, bo nie odpowiada za konsekwencje.

– Sukinsyn – mruknął Bryce.

– Nigdy nie kochał mnie za to, kim jestem – odparła załamującym się głosem.

Bryce odruchowo podszedł do niej i mocno ją przytulił. Przycisnął jej twarz do swojej piersi, żałując, że nie mógł jej wtedy obronić. Potem wziął ją na ręce.

– Zmarzną ci nogi – rzucił opiekuńczo.

– Zmarzło mi serce – szepnęła bardzo cicho. – Potrafisz je rozgrzać?

Spojrzał jej prosto w oczy i powiedział szczerze:

– Nie wiem.

– W takim razie zacznijmy od nóg – odparła z leciutkim uśmiechem.

Nie zastanawiając się nad emocjami, które wypełniały jego serce, zaniósł ją do sypialni. Kiedy znaleźli się w łóżku, objął Jenesę, po czym długie godziny leżał, wspominając dzieciństwo.

W poniedziałek rano Jenessa znowu była w pracowni, gotowa do pracy. Od sobotniego ranka zachowywali się z Bryce'em, jakby nocna rozmowa nigdy nie miała miejs-

ca. Kiedy napomknęła o niej przy śniadaniu, usłyszała tylko:

– Jenesso, nie chcę o tym mówić. Nie powinienem był w ogóle zaczynać.

Na tym skończyły się między nimi poważne dyskusje. Oczywiście, przez resztę weekendu miło spędzali czas, zjedli lunch w Masefield, pracowali w ogrodzie, kochali się pomysłowo i z przyjemnością. Lecz szczęście Jenessy przesłaniał cień jego przeszłości.

To z tego powodu Bryce nigdy się nie ożeni. Stąd ten romans, pomyślała nieszczęśliwa. Romans artystyczny. Mogę go przerwać, zanim zaangażuję się za bardzo, przekonywała samą siebie. Rzecz w tym, że nie chciała.

Pracowała ciężko cały dzień, lecz rezultaty były przygnębiające. Zaczynała nienawidzić określenia „utknąć w martwym punkcie”. Po co marnuje pieniądze na farby i płótno, skoro nie potrafi osiągnąć nic wartościowego?

Wiedziała, czego jej trzeba: żeby Bryce Laribee stanął w drzwiach, a potem kochał się z nią namiętnie przez co najmniej trzy godziny. Nie zadzwonił do niej wczoraj wieczorem i dzisiaj też nie. No to trudno, pomyślała. Wcale go nie potrzebuje.

Sprawdziła numer w notesie, podniosła słuchawkę, po czym odłożyła ją z powrotem. Naprawdę odważy się to zrobić?

Dwa dni później, po dyżurze w schronisku, Jenessa stała w eleganckiej dzielnicy Bostonu naprzeciw dziewiętnastowiecznego domu należącego do jej ojca.

Charles czeka na nią. Nie może tu tkwić jak kołek przez pół godziny. Nacisnęła dzwonek; ojciec otworzył natychmiast.

– Jenessa – powitał ją serdecznie. – Wejdz. Corinne wyszła na miasto, mamy cały dom dla siebie. Zrobię ci coś do picia.

Poprowadził ją przez sztywny salon (zauważyła swój obraz zawieszony dumnie nad fortepianem), do pokoju wychodzącego na ogród na tyłach.

– Cieszę się, że cię widzę – powtórzył, podając jej szklankę wody z lodem, o którą poprosiła.

W autobusie Jenessa przećwiczyła dokładnie każde zdanie; zamierzała być chłodna i opanowana. Popatrzyła mu w oczy.

– Naprawdę?

Roześmiał się ze skrępowaniem.

– Oczywiście. Ostatecznie jesteś moją córką.

Ta odpowiedź wzbudziła jej gniew.

– Jestem też córką Leonory. Czy pamiętasz tamten wieczór, kiedy mnie skrzyczałeś, bo tańczyłam w ogrodzie?

– Zaskoczyłaś mnie. Twoja matka wciąż mówiła tylko o tańcu. Dziwisz się, że tak zareagowałem?

– Miałam siedem lat! Zawsze chciałeś, żebyśmy była taka jak ty! To dlatego zapisałeś mnie na studia handlowe, nie pytając mnie nawet o zdanie! Gdybym się nie opierała, zniszczyłbyś mnie – mówiła wzburzona. – Zmieniłbyś mnie w kogoś, kim nie byłam i nie chciałam być. Czy tak rozumiesz bycie dobrym ojcem? – zakończyła podniesionym głosem.

– Czemu to teraz wyciągasz? – odparł.

– Lepiej bym na tym wyszła, gdybym wcale nie miała ojca!

Odstawił z hukiem szklanę.

– Jak możesz mówić coś takiego?

– Powiedziałaś, że moja matka nie żyje, i próbowałaś ze mnie wykorzenić wszystko, co po niej odziedziczyłam. Przyznaj się: nienawidziłaś Leonory za to, że cię wystawiła na pośmiewisko. Zraniła twoją dumę. – Zwiesiła ramiona.

– Nigdy cię nie zrozumiem, więc jak mam ci wybaczyć?

– To nie była duma! – wykrzyknął ze złością. – W porządku – dodał po chwili, wsuwając ręce do kieszeni.

– Duma też. Ale i znacznie więcej. Kochałem ją od pierwszej chwili. Była wszystkim, czego pragnąłem w życiu! I straciłem ją.

– Wygnałeś ją – zaprotestowała Jenessa.

– Nigdy naprawdę do mnie nie należała – mówił cicho, jakby nie słyszał. – Próbujesz żyć z kimś i wiesz w głębi duszy, że nigdy się przed tobą nie otworzy do końca. To było piekło.

Bryce, pomyślała Jenessa oszołomiona. Tak się czuję, kiedy z nim jestem. Nie chce mnie do siebie dopuścić; ofiarować mi czegoś więcej niż terażniejszość.

– Byłem głupcem – ciągnął tymczasem Charles. – Sądziłem, że jeśli zabronię jej tańczyć, wszystko się ułoży. Obsypywałem ją klejnotami, wybudowałem dla niej Castlereigh, zabierałem w podróże po świecie...

– ...a ona uciekła – dokończyła Jenessa ledwie słyszalnie.

– Wróciłem z podróży służbowej i zastałem list, że jedzie do Paryża studiować taniec nowoczesny. – Zamknął na chwilę oczy. – Pachniał jej perfumami.

Ona też rozpoznałaby wszędzie ulotny, męski zapach Bryce'a.

– Szalałem z żalu, rozpacz, wściekłości na siebie i na nią.

Jenessa zauważyła wstrząśnięta, że po twarzy Charlesa spływają łzy.

– To, co zrobiłem, było niewybaczalne – dodał stłumionym głosem. – Zrozumiałem to dzięki Travisowi. I dlatego próbowałem nawiązać kontakt z tobą, Jenesso.

Impulsywnie położyła mu ręce na ramionach i spjrzała w oczy.

– Nie wiedziałam, co przeżywasz – szepnęła. – Zawsze wydawałeś się taki zimny, taki opanowany.

Niezgrabnie objął ją ramieniem.

– Przepraszam. Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro, że cię skrzywdziłem. Próbowałem wymazać wspomnienia o twojej matce.

– Ale kochasz Corinne.

– Była dla mnie dobra... i starała się być dobra dla ciebie. Nie jest zbyt uczuciowa, ale na swój sposób cię kocha.

Jenessa wiedziała, że to prawda. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Nie wiem, czy zdołasz mi wybaczyć. Lecz w pewnym sensie zrobiłem to z miłości.

Podniosła wzrok, ocierając mokre policzki.

– Już ci wybaczyłam – odparła z niepewnym uśmiechem. – I ja też cię kocham, tato.

Dwie kolejne łzy spłynęły z jego oczu.

– Miłość i przebaczenie. To więcej niż zasługuję – westchnął.

– Tak się cieszę, że masz mój obraz. I wiesz co, chętnie bym się napiła wina. Wypijmy toast za nowy początek.

– Najlepszym szampanem – ożywił się Charles. – Poczekaj chwilę.

Patrzyła za nim, kiedy wychodził z pokoju. Nic nie mogło naprawić krzywdy, jaką jej wyrządził, teraz jednak lepiej rozumiała jego motywy i doceniała pragnienie pojednania z jego strony.

Wrócił po chwili, niosąc butelkę. Otworzył ją i wzniosł toast:

– Za moją córkę, taką jaka jest.

Jenessa wypła z gardłem ściśniętym ze wzruszenia. Jeszcze przez godzinę gawędzili o mniej ważnych sprawach, po czym Jenessa podniosła się z miejsca.

– Muszę wracać, tato, jutro chcę pracować od samego rana. Pozdrów ode mnie Corinne. Zadzwoń za parę dni i umówimy się na wspólną kolację.

Na progu uścisnęła go serdecznie. Potem, nie zauważając upału, ruszyła cienistą ulicą. Kiedy dotarła do stacji metra, zmieniła nagle zamiar i wsiadła w czerwoną linię, zatrzymującą się w pobliżu Beacon Hill. Powinna uprzędzić Bryce'a, coś ją jednak powstrzymało. Wspięła się po stopniach i nacisnęła guzik dzwonka.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gdy rozległ się dzwonek, Bryce wychodził właśnie do klubu sportowego. Zbiegł na dół w szortach i podkoszulku, z torbą w ręce, i wyjrzał przez judasza. Na progu stała kobieta, o której myśl nie opuszczała go ani na chwilę; przez moment sądził, że ją sobie wyobraził. Szybko otworzył drzwi.

– Och, wychodzisz – przywitała się Jenessa. – Powinam była zadzwonić.

– Pójdę później. Nie wiedziałem, że będziesz dzisiaj w mieście.

– Sama tego nie wiedziałam.

Gdy tylko znalazła się w środku, wyrzuciła z siebie gwałtownie:

– Widziałam się z Charlesem.

Opisała spotkanie i to, czego się dowiedziała.

– Więc mu przebaczyłam – zakończyła z promiennym uśmiechem. – To wspaniałe uczucie, mam wrażenie, jakbym zrzuciła z serca ciężar, pod którym uginałam się całe życie. – Roześmiała się. – Mogłabym niemal tańczyć jak moja matka.

– I przyszedł prosto do mnie, żeby mi powiedzieć? – zdziwił się.

– Oczywiście – odparła wstrząśnięta. – Chyba rozumiesz, jakie to ważne.

Rozumiał aż za dobrze. Jenessa chciała się z nim

dzielić swoim życiem, każdą radością. Nie był gotów tego odwzajemnić, lecz z każdym spotkaniem angażował się trochę głębiej.

Cisza przeciągała się zbyt długo.

– Nie powinnam była przychodzić – stwierdziła Jenessa zirytowana. – Nie chcesz słuchać o moich przeżyciach, chcesz się tylko ze mną kochać.

– Nie wiem, czego chcę! – wybuchnął. – Wiem, co chcesz wiedzieć – dodał po chwili – i odpowiedź brzmi: nie. Nie szukałem swoich rodziców.

– Ja staram się zmienić! – wykrzyknęła. – Lecz jeśli ty nie zmienisz się także, donikąd nie dojdziemy.

Złapani w pułapkę, pomyślał. Oboje zostaliśmy złapani w pułapkę.

– Chodź na górę – powiedział w końcu. – Chcę cię potrzymać w objęciach, Jenesso. Wszystko prócz ciebie wydaje się takie nierzeczywiste.

Przez chwilę sądził, że się nie zgodzi, ona jednak skinęła głową. Odetchnął z ulgą.

– Jesteś odważniejsza ode mnie – powiedział z goryczą.

– Miałam łatwiejszą sytuację. Ty musisz wrócić do okropnych wspomnień.

To prawda; całe życie uciekał od tamtego ciasnego mieszkania, gdzie splotły się losy Fletchera i Rose. Rzucił torbę na podłogę, wziął Jenessę w ramiona i wtulił twarz w jej włosy. Tylko kiedy ją trzymał w objęciach, wiedział, kim jest.

Tydzień później Bryce stał w deszczu przed starą czynszówką, patrząc w puste okna. Przyszedł tu prosto ze

schroniska, w którym trzydzieści dwa lata wcześniej zostawiła go matka. Nie zachowały się żadne dokumenty z tego okresu, lecz poradzono mu, żeby odwiedził niejaką Maybelline Parker – kobietę, która pracowała w schronisku mniej więcej w czasach, kiedy on tam trafił.

Spodziewała się go, więc otworzyła drzwi, kiedy tylko zapukał, i uśmiechnęła się zapraszająco.

– Wyrosłeś na przystojnego mężczyznę.

Musiał się uśmiechnąć w odpowiedzi. Pokój, do którego go wprowadziła, był biedny, ale czysty i panował w nim porządek; na każdej powierzchni tłoczyły się porcelanowe figurki psów.

– Napije się pan herbaty, panie Laribee?

– Z chęcią; na imię mam Bryce.

Herbata okazała się czarna jak smoła.

– Więc ty jesteś Bryce... wygląda na to, że wyszedłeś na ludzi. Cieszę się.

– Nie narzekam – przytaknął skromnie. – Chciałem się dowiedzieć czegoś o moich rodzicach. Znam tylko ich imiona: Rose i Fletcher. Matka zostawiła mnie w schronisku i zniknęła. Wiem, że to niewiele.

Spojrzała na niego ze ściągniętymi brwiami.

– Tyle tylko wiesz? Że matka cię zostawiła? Nigdy nie powiedzieli ci nic więcej?

Teraz to on się zdziwił.

– A powinni?

– Masz jakiś powód, żeby ich szukać? – odpowiedziała pytaniem.

Może to ta szatańska herbata rozwiązała mu język.

– Nigdy się nie ożeniłem – wyznał – i dawno temu postanowiłem nie mieć dzieci...

Urwał, uświadamiając sobie, że również budowa szkoły była sposobem na stworzenie sobie zastępczej rodziny. Nagle dotarło do niego, że Maybelline coś mówi.

– Więc poznałeś jakąś kobietę. Zasluguje na ciebie?

– Nie owija pani w bawełnę – odparł sucho.

– Nie przyszedłeś tu rozmawiać o pogodzie.

– Tak, jest aż za dobra. Ale chyba się obawiam, że mógłbym się zmienić w takiego człowieka jak mój ojciec.

– Masz problem z piciem?

Tylko jeśli chodzi o tę herbatę, pomyślał Bryce i pokręcił głową.

– Uderzyłeś ją kiedyś?

Roześmiał się.

– Nie odważyłbym się spróbować. Nigdy w życiu nie podniosłem ręki na kobietę.

– Więc nie rozumiem, czego się obawiasz.

– Był moim ojcem! Kiedy się upił, zmieniał się w potwora.

– W tej jednej sprawie mogę cię uspokoić. Fletcher Larabee nie był twoim tatą.

Bryce omal się nie zakrztusił.

– Co pani mówi?

– Wprowadził się do Rose po tym, jak owdowiała. Już wtedy była w ciąży z tobą. Twój ojciec pracował w stoczni i nazywał się Neil Bryce Jackson. Zginął w wypadku na dźwigu. O ile pamiętam, pochodził z Iowa. Twoja matka opowiedziała mi o nim pewnej nocy, kiedy nie mogła zasnąć. Kochała go, a on był dla niej dobry.

Bryce'owi kręciło się w głowie.

– Zawsze nazywałem Fletchera ojcem, a on nie protestował. Czemu go nie rzuciła?

– Nie miała pieniędzy ani wykształcenia, chociaż była całkiem bystra. I była w ciąży, kiedy go poznała. Jak się postarał, potrafił każdego sobie owinąć wokół palca. A ona musiała ci zapewnić środki do życia. Uciekła do schroniska dopiero wtedy, kiedy uderzył ciebie. Wtedy powiedziała: dosyć. Kochała cię jak nikogo na świecie, byłeś dla niej wszystkim.

Serce biło Bryce'owi tak mocno, jakby znowu stał się chłopcem, który broniąc matki, bił tyrana zardzewiałą zabawką.

– Więc czemu mnie zostawiła? – spytał z bólem zmieszonym z goryczą.

Maybelline westchnęła ciężko.

– Tamtego wieczoru twoja matka powiedziała, że idzie do dawnego mieszkania po kilka pamiątek. Przekonywałam, żeby dała spokój albo przynajmniej wzięła ze sobą kogoś znajomego, ona jednak się uparła. Widzisz, miała wielkie plany. Chciała wyjechać z tobą i zacząć życie od nowa.

Bryce zacisnął palce wokół filizanki.

– Czemu nie wróciła?

– Znaleźli ją następnego dnia – ciągnęła Maybelline, patrząc w podłogę. – U stóp schodów ze skrzyconym karkiem.

Bryce zbladł.

– Nie żyła. Nic innego by jej nie powstrzymało przed powrotem – zapewniła Maybelline. – Fletchera nie udało się odszukać, więc jej śmierć uznano za nieszczęśliwy wypadek.

Podniósł wzrok.

– A pani uważa, że on to zrobił.

– Tak myślę, ale nigdy tego nie udowodnię. Następnego dnia zabrali cię do domu opieki na drugim końcu miasta, a potem do rodziny zastępczej. Próbowalam cię szukać, ale na próżno. – Otarła łzę. – Nie mogę zrozumieć, czemu nikt ci nigdy o tym nie powiedział. Tak nie można. To wstyd – powtarzała z oburzeniem.

– Zawsze myślałem, że mnie porzuciła – odezwał się Bryce.

– Nie ona. Nie Rose. Bardzo ją lubiłam. Walczyła ze wszystkich sił, by się utrzymać na powierzchni. Szkoda, że tak skończyła.

– Dowiem się, gdzie ją pochowano. Wybierze się pani kiedyś ze mną na jej grób?

– Leży na starym cmentarzu niedaleko stąd. Tyle przynajmniej mogłam zrobić.

– Jeśli mój ojciec, prawdziwy ojciec, był rzeczywiście dobrym człowiekiem, to pani jest święta.

– Daj spokój – ucięła szorstko i naląła mu jeszcze herbaty.

Po wizycie parę godzin wędrował po ulicach zamyślony, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Dopiero kiedy nogi zanosły go do miejsca, gdzie zaparkował samochód, podjął decyzję. Wsiadł do auta i ruszył za miasto na zachód, w stronę Wellspring.

Zapadła noc, zaczął padać deszcz. Bryce zwolnił. Nie śpieszyło mu się; nie wiedział nawet, co powie Jenessie ani po co do niej jedzie. Wiedział tylko, że nie ma wyboru.

Gdy dotarł na miejsce, światła w domu były pogaszone. Minęła jedenasta; Jenessa już spała. Bryce wyciągnął się na skórzanym fotelu w samochodzie. Nie miał siły wracać do Bostonu. Postanowił, że zdrzemnie się chwilę

przed powrotem do miasta. Krople deszczu kojąco bębniły o dach.

Jenesę obudził huk grzmotu. Lubiła burze. Leżała spokojnie, aż niebo przecięła błyskawica, po czym poszła do kuchni napić się wody. Ogród potrzebuje deszczu, pomyślała i poszła sprawdzić, czy okna od frontu są zamknięte.

Przed domem stał zaparkowany wóz podobny do jaguara Bryce'a. Spozregła zgarbioną postać na fotelu kierowcy. Westchnęła z przerażenia. Złapała latarkę, narzuciła płaszcz przeciwdeszczowy i włożyła kalosze. Co Bryce tu robi w środku nocy?

Ślizgając się w błocie, podbiegła do samochodu. Wład dłońią w szybę, zaczęła wołać mężczyznę po imieniu. Wzdrygnął się i otworzył oczy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje, potem wyjął kluczyki ze stacyjki i otworzył drzwi.

– Chodź do środka – poleciła.

Wpuściła go do domu, po czym zarygłowała drzwi.

– Przemokłeś do nitki – stwierdziła, gasząc latarkę.
– Co się stało? – spytała, starając się opanować drżenie głosu.

– Dowiadywałem się o rodziców – wyjaśnił.

Siedział nieruchomo, nieobecny duchem, kiedy krzątała się, szukając ręcznika i suchej koszuli. Ocknął się dopiero wtedy, kiedy postawiła na gazie czajnik.

– Nie rób mi herbaty – mruknął. – Wypiłem dzisiaj taką, że starczy mi na długo. Pewnie dlatego śniły mi się koszmary.

– Jadłeś coś?

– Chyba nie.

Pięć minut później postawiła przed nim talerz gorącej domowej zupy i chleb. Pochłonał jedno i drugie jak ktoś umierający z głodu, potem odsunął talerz.

– Mój prawdziwy ojciec zginął, zanim się urodziłem – powiedział bezbarwnie. – Fletcher był moim ojczymem.

A kiedy Jenessa westchnęła, mówił dalej:

– Matka nie wróciła po mnie do schroniska, bo nie żyła. Znaleziono ją ze skreconym karkiem u stóp schodów. Być może zrzucił ją Fletcher. Nie dowiem się, póki go nie odnajdę.

– Więc cię nie opuściła – szepnęła Jenessa.

– Nie; chciała ze mną wyjechać i zacząć nowe życie. – Głos mu się załamał. – Przez te wszystkie lata nikt mi nie powiedział o jej śmierci.

Opuścił głowę na złożone dłonie; zadrżał. Jenessa otoczyła go ramionami.

– Mój prawdziwy ojciec nazywał się Neil Bryce Jackson i podobno był dobrym człowiekiem. – Westchnął. – Przyjechałem ci o tym powiedzieć, ale już spałaś. Chciałem się chwilę zdrzemnąć przed powrotną jazdą do Bostonu, ale chyba zasnąłem na dobre.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedziała po prostu. – Jeśli się najadłeś, kładźmy się spać.

Bez oporów dał się zaprowadzić do łóżka, a kiedy go przytuliła, zasnął natychmiast, jak małe dziecko.

Błysnęło, w oddali rozległ się grzmot. Jenessa czuła przy policzku ciepły oddech Bryce'a.

Kocham cię, pomyślała. Zakochałam się w tobie bez pamięci, i dopiero teraz to sobie uświadomiłam.

Oczywiście, że go kocha, od dnia gdy miała siedem-

naście lat. To dlatego nigdy się nie zbliżyła do innego mężczyzny. Namiętny, złożony Bryce, który ożywił jej duszę i zaspokoił ciało. Zalała ją fala szczęścia. Niepotrzebnie się martwiła, że jest niezdolna do miłości. Matka, ojciec, a teraz Bryce: dla wszystkich znalazło się miejsce w jej sercu.

Zapadała już w sen, kiedy przyszło jej do głowy coś tak oczywistego, że aż otworzyła oczy. Skoro Bryce nie jest synem Fletchera, to być może zmieni swoje zasady? Zrozumie, że może sobie pozwolić na głębsze zaangażowanie?

Może ją pokocha?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Był późny ranek, kiedy Jenessa obudziła się i poczuła, że tuż obok leży męskie ciało aż nazbyt gotowe, by się z nią kochać.

– Tak, proszę – powiedziała.

Roześmiał się.

– Jesteś łatwa.

– Jeśli chodzi o ciebie, tak.

Nie miała odwagi mu powiedzieć, że go kocha, może jednak okazać swoje przywiązanie, pomyślała. Zaczęła zmysłowo pieścić wargami jego usta.

– Co za miła niespodzianka zastać cię w moim łóżku.

– Nie będę się spierał – odparł z leniwym uśmiechem.

Przyciągnął ją mocno do siebie – ciepłą, tak dobrze znaną, tak bardzo pożądaną. Odpowiedziała równie namiętnie, całując go w usta i otwierając się na jego przywitanie. Poruszali się złączeni w jednym rytmie, aż świat eksplodował blaskiem i barwami i nie zostało nic prócz bicia jego serca i szumu krwi pulsującej jej w żyłach.

Wtulił twarz w jej włosy.

– Przepraszam – szepnął. – Chciałem się upewnić, że jesteś rzeczywista. Wiem, że to brzmi bez sensu.

– Bryce, jestem tu dla ciebie – odparła głosem pełnym nowo odkrytej miłości. – Tak długo, jak zechcesz.

– Nie zasługuję na ciebie – odparł szorstko.

Nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć.

– Tak czy inaczej – stwierdziła dzielnie – mamy dla siebie cały ranek.

Przesunął wargami po jej ramieniu.

– Och, zrób tak jeszcze raz – poprosiła.

Usłuchał; w tej samej chwili zadzwonił telefon. Jenessa mruknęła:

– Ktoś ma pecha. Bryce, zaraz oszaleję z rozkoszy...

I na jakiś czas przestała myśleć o czymkolwiek.

Wczesnym popołudniem dzwonek odezwał się znowu, lecz pół godziny wcześniej Jenessa poinformowała Bryce'a, że teraz jej kolej go uwieść. Potem z entuzjazmem i czarującą pomysłowością doprowadziła go na skraj szaleństwa. Później zasnęli oboje.

Po trzeciej zbudziła się i zobaczyła, że Bryce przygląda się jej wsparty na łokciu.

– Gdzie obiad? Może być kawior i szampan.

– Co powiesz na chleb z serem?

– Ujdzie, umieram z głodu.

Chwilę później kroїła chleb z idiotycznym uśmiechem na ustach, a Bryce przetrząsał lodówkę, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Przyczესując palcami włosy, poszła otworzyć.

– Cześć, siostró – przywitał ją Travis.

– O, cześć... Julie... i Samantha. Wejdźcie. – Zarumieniła się. – Bryce jest u mnie, właśnie robimy obiad.

Z kuchni wynurzył się Bryce z sałatą w jednej i kawałkiem sera w drugiej ręce.

– Chcecie kanapkę? – spytał. – A przy okazji, co tu robicie?

– Jedziemy na konferencję medyczną do Nowego Jorku. Nie odsłuchaliście wiadomości? – wyjaśnił Travis.

Bryce wyszczerzył zęby.

– Pewnie byłem w ogrodzie.

– Połóżcie Samanthę w sypialni – zaproponowała Jenessa.

Na szczęście posłała łóżko.

– Nie chcieliśmy cię zaskakiwać, pomyśleliśmy tylko, że miło byłoby cię zobaczyć. A poza tym wiem już, co robią motylki i pszczołki – odezwała się uprzejmie Julie.

Jenessa zarumieniła się.

– To nic stałego.

Julie położyła jej dłoń na rękę.

– Skąd możesz wiedzieć? – spytała. – Bryce miał trudne dzieciństwo, to musiało zostawić ślady.

Ostrożnie ułożyły śpiącą Samanthę na poduszce i wróciły do kuchni. Bryce i Travis razem robili kanapki.

– Namalowałaś coś nowego, Jen? – spytał swobodnie brat.

– Jeden obraz. Dla taty – odparła i szybko opowiedziała o swojej wizycie u Charlesa.

– Cieszę się – odparł cicho.

Te dwa słowa zabrzmiały jak największa pochwała. Jenessa poprowadziła wszystkich do pracowni, gdzie na sztalugach stało ukończone płótno. Z wielkim realizmem przedstawiła na nim kwitnący krzew bzu pod kamiennym murem i małą dziewczynkę tańczącą na trawie.

– To ty – wyrzucił z siebie zaskoczony Bryce.

Skinęła głową.

– Mam nadzieję, że spodoba się tacie.

Wiedziała, że obraz nie stanowi przełomu, na jaki czekała, lecz malowanie sprawiło jej wielką przyjemność.

Kiedy zebrali się wokół kuchennego stołu, Travis odezwał się:

– Chciałbym zabrać Julie na kolację do Masefield. Zrobicie nam przysługę? Zajęlibyście się Samanthą?

– Sami? – pisnęła Jenessa przerażona. – A jeśli zacznie płakać?

– To ją ponosisz. Zresztą Bryce ci pomoże – uspokoił ją brat. – Wrócimy wieczorem; zarezerwowaliśmy sobie pokój w pensjonacie. No, siostró, zgódź się. Julie i ja tak dawno nie spędziliśmy wieczoru przy świecach... A jesteście przecież rodzicami chrzestnymi, pora wypełnić przysięgę...

Bryce roześmiał się.

– Chcesz w nas wzbudzić poczucie winy? Rozchmurz się, Jenesso, to nie powinno być trudne. Z jednego końca wypychasz jedzenie, a z drugiego myjesz, i gotowe.

– Będziesz mi pomagał, skoro jesteś takim ekspertem – odparła cierpko.

– Nie ma sprawy... Chyba się nie boisz sześciu kilo niemowlęcia?

– Ja? Skądże – odparła nie całkiem zgodnie z prawdą.

Wkrótce po wyjściu Trávisa i Julie mała zbudziła się z płaczem.

– Miałam nadzieję, że będzie spała cały wieczór – zdziwiła się Jenessa. – Może byś ją ponosił, Bryce?

– To ty jesteś kobietą; powinnaś się znać na takich rzeczach.

– To ty jesteś facetem; powinieneś śmiało stawiać czoło niebezpieczeństwom.

Wyszczrzył do niej zęby.

– A może zajmijmy się nią razem? W jedności siła, i tak dalej?

Jenessa ostrożnie wzięła dziecko na ręce; Samantha krzywiła się i wrzeszczała ile sił w płucach. Bryce podgrzewał butelkę, Jenessa tymczasem walczyła z pieluszkami i wilgotnymi chusteczkami. Bryce przyniósł butelkę; miała przywarła do smoczka, jakby głodowała od tygodnia. Parę chwil potem uśmiechnęła się szeroko.

– Masz do tego smykałkę – odetchnął z ulgą Bryce.

Jenessa wpatrywała się w niego, uderzona nagłą myślą. Tego właśnie chce. Małżeństwa, dzieci, miłości i oddania... razem z Bryce'em. Nikt inny go nie zastąpi.

Podawała mu dziecko.

– Nakarm ją do końca, a ja sprzątnę ze stołu.

Bryce wytrzeszczył na nią oczy.

– Nigdy w życiu nie karmiłem dziecka – wyjaśnił przerażony.

– Małej na pewno to nie przeszkadza.

Samantha pisała zniecierpliwiona. Bryce, czując, że przekracza Rubikon, wziął ją na ręce. Poczował ciepło i ciężar małego ciała; miała patrzyła na niego wielkimi niebieskimi oczami. Ze ściśniętym gardłem odwzajemnił spojrzenie, a wtedy uśmiechnęła się szeroko bezzębnymi ustami. Szybko wsunął jej smoczek do buzi.

– To nie takie trudne – stwierdził na głos.

Kiedy Samantha skończyła ssać, ukołysał ją w ramionach. Była taka delikatna, taka bezbronna. Jak ktoś może skrzywdzić takie dziecko?

Pytanie pojawiło się znienacka w jego umyśle. Czy jego matkę ogarniała podobna czułość, gdy go trzymała w ramionach? Nigdy się nie dowie.

– Bryce? Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się Jenessa.

Popatrzył na nią; padające zza jej pleców słońce rozświetlało jej włosy. Jak by się czuł, gdyby to było ich wspólne dziecko? Czy chroniłby je, czy może krzywdził jak Fletcher?

Takie pytania sprawiały, że miał ochotę uciekać na koniec świata.

– Trzeba ją położyć do łóżka – powiedział rzeczowo.

– Dobrze, a potem mi wyjaśnisz, co się dzieje – odparła stanowczo.

Jeśli mi się uda, pomyślał. Jak miał przyznać, nawet przed samym sobą, że pomyślał o dziecku? Dzieci oznaczały oddanie, miłość. Nie kochał Jenessy.

Czy ona kocha jego? Położył małą spać i stanął zamyślonny. Jenessa wciąż zaprzecza, że go kocha, ale czy mówi prawdę?

Przypomniawszy sobie wyraz jej twarzy tego ranka, jej czułość. Czy to nie miłość? Co takiego powiedziała? Jestem tu dla ciebie. Tak długo, jak zechcesz. Czy to nie słowa zakochanej kobiety?

Nie chciał, żeby się w nim zakochała. Nie umiałby się z tym uporać.

Wrócił do kuchni; Jenessa robiła herbatę.

– Wczoraj opowiedziałeś mi o swoich rodzicach, ale nie mówiłeś, co czujesz – odezwała się.

– Nie wiem jeszcze. Nie naciskaj.

– Skąd inaczej mam wiedzieć, co przeżywasz? Spaliśmy ze sobą tej nocy, kochaliśmy się przez większą część dnia. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

Uniosła podbródek, lecz za tą wyzywającą pozą czał

się strach. Obawia się mojej odpowiedzi, uświadomił sobie Bryce. Był już prawie pewien, że się w nim zakochała.

– Po prostu mnie nie naciskaj, dobrze?

Opanowała się z wysiłkiem.

– Okej – odparła. – Mnie też nie można zmusić do zrobienia czegoś, na co nie jestem gotowa.

Nie spodziewał się takiej wyrozumiałości.

– Jesteś niezwykłą kobietą – mruknął.

Jej oczy nagle napełniły się łzami.

– Jestem upartą i przemądrzałą artystką, która nigdy nie wie, co za chwilę namaluje. Nie ma we mnie nic niezwykłego.

– Jesteś szczerą i potrafisz słuchać. Gdyby nie było tu Tralisa i Julie, natychmiast bym cię zabrał do sypialni.

Więc ich romans ogranicza się do łóżka, pomyślała. To chciał mi powiedzieć. Jak długo zdołam to znieść?

Godzinę później, trzymając się za ręce, wrócili Travis i Julie. Nie zabawili długo: zabrali małą i ruszyli do pensjonatu. Po ich wyjściu Bryce wziął Jenessę na ręce, zaniósł do sypialni i kochał się z nią w całkowitej ciszy z jakąś dziwną desperacją. Potem, z sercem wciąż jeszcze mocno bijącym w piersi, odezwał się:

– Muszę wracać do Bostonu; jutro przez cały dzień mam ważne spotkania. Odezwę się przed weekendem.

W półmroku jego oczy wyglądały jak ciemne otwory; Jenessa pierwszy raz czuła się niezaspokojona. Nie fizycznie; lecz w sercu czuła chłód i pustkę. I lęk. Starając się go zamaskować, spytała z pozorną obojętnością:

– Mam jakiś wpływ na tę decyzję?

– Robię, co mogę – odparł Bryce szorstko.

Musiła się tym zadowolić. Stała przy oknie, patrząc na oddalające się światła jego samochodu, i czuła dojmującą samotność. Jeśli Bryce nie zechce dzielić z nią swoich radości i smutków, jest zgubiona. Kochała go i nie zamierzała się zadowolić czymś mniejszym. Może powinna ufać, że wcześniej czy później się przed nią otworzy? Co innego jej pozostaje?

Przez parę chwil kręciła się po kuchni, potem poszła do pracowni. Wzięła szkicownik i zaczęła wypełniać węglowymi szkicami stronę za stroną. Było dobrze po północy, gdy skończyła i położyła się spać.

Zbudziła się o świcie. Pogryzając banana, udała się znowu do pracowni i stanęła przed pustym płótnem. Długą chwilę jedynie się w nie wpatrywała, potem sięgnęła po tubkę z farbą i znów zastygła z pędzlem w dłoni.

Całkowicie skupiona, niekiedy tylko przerywając, żeby rozprostować kości, pracowała przez cały dzień. Gdyby ktoś ją spytał, nie umiałaby opisać emocji, które nią kierowały. Gdy światło zaczęło słabnąć, dokonała paru ostatnich poprawek.

Obraz był gotowy. To najwspanialsze dzieło, jakie udało się jej dotychczas stworzyć, pomyślała; niewątpliwy i zdecydowany przełom. Abstrakcyjne, lecz budzące żywe emocje, pełne barw i radości.

Dopiero teraz poczuła zmęczenie. Umyła pędzle i padła na łóżko. Po kilku chwilach spała głęboko.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Bryce pchnął drzwi drewnianego domku. Pukał dwa razy, lecz nikt nie odpowiedział. Drzwi nie były zamknięte na klucz: Jenessa czuła się na wsi bezpiecznie, teraz jednak zapadał zmrok. Powinna być ostrożniejsza. Bryce wszedł do środka.

W domu panowała cisza, na stole stały brudne naczynia. Pewnie jest w ogrodzie. Przechodząc obok sypialni, zobaczył ją na łóżku. Leżała rozciągnięta na brzuchu w ubraniu pomazanym farbą, pogrążona w głębokim śnie. Niewiele myśląc, poszedł do pracowni i zapalił światło.

Obraz stojący na sztalugach głęboko go poruszył. Zawsze uważał, że „piękno” to nadużywane słowo, lecz barwny wir, jaki przed sobą widział, był piękny. Stał nieruchomo, pozwalając, by radość przeniknęła go do głębi.

Po dłuższej chwili jej miejsce zajął niepokój. Miałem rację, pomyślał. Aż do tej pory w obrazach Jenessy czegoś brakowało, ten jednak był kompletny. Zakochała się i na swój sposób wyraziła uczucie, pokrywając płótno farbą.

Usłyszał z tyłu ciche kroki. Odwrócił się i dopiero gdy zaczął mówić, uświadomił sobie własne uczucia.

– Zakochałaś się we mnie – rzucił oskarżycielsko.

Staneła, odrzuciła z twarzy pasmo włosów.

– Tak – przyznała.

Jej szczerość nim wstrząsnęła.

– Uprzedzałem, że to tylko romans! Że nie myślę o małżeństwie.

Zmrużyła oczy.

– Czemu tak cię to złości?

– Nic mi nie powiedziałaś.

– Wyjaśnij mi uprzejmie, dlaczego miałabym to zrobić, skoro ty nie zechciałeś nawet mi powiedzieć o swoich uczuciach, gdy się dowiedziałeś o losach rodziców.

– Wszystko potoczyło się zbyt szybko – wybuchnął gwałtownie. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Nie chcesz wiedzieć.

Jej logika doprowadzała go do furii.

– Muszę od ciebie odpocząć, Jenesso.

– Więc kończysz nasz romans? – spytała napiętym głosem. – Nie wiem, czemu wcale mnie to nie zaskakuje. Zawsze wiedziałam, że tak zrobisz.

– Nie kończę! Potrzebuję trochę spokoju.

– I jechałeś aż z Bostonu, żeby mi o tym powiedzieć?

Po co przyjechał? Bo pracował cały dzień i chciał odpocząć w jej ogrodzie? A może dlatego, że czuł się sobą tylko u niej w łóżku?

– Muszę mieć wyjaśnienie na wszystko? – odparł zniecierpliwiony.

Pobladała mocno i odsunęła się o krok.

– Chcę mężczyzny, który ma dość odwagi, żeby ze mną dzielić coś więcej niż tylko seks.

– Okej, więc ci opowiem, co robiłem po pracy. Poszedłem na policję, żeby mi pokazali teczkę Fletchera. Szukali go po śmierci matki, ale nigdy go nie odnaleziono.

– Więc jesteś przekonany, że to on ją zabił?

– Tak. Matka była bardzo zręczna, poruszała się lekko. Czasem włączała radio i tańczyła. Pamiętam to.

– Piękne wspomnienie – zauważyła cicho Jenessa.

Rysy Bryce'a stwardniały.

– Była ostatnią osobą, która spadłaby ze schodów. Jak sądzisz, co czuję na myśl, że ojczym zabił moją matkę i uszło mu to na sucho?

– To tragedia, Bryce, ale wiesz przynajmniej, że Fletcher nie był twoim prawdziwym ojcem.

– To on mnie ukształtował.

– Nie wierzę!

Bryce zbliżył się nagle i schwycił ją mocno za ramię.

– Puszczaj! – krzyknęła. – Mówiłam ci już, że się ciebie nie boję.

Wyrwała się z jego uścisku.

– Próbujesz mnie przestraszyć, żebym z tobą zerwała? Żebyś mógł uniknąć bliskości i nie musiał stanąć twarzą w twarz z własnymi uczuciami?

– Ostrzegam cię przed tanim sentymentalizmem. Miłość to najbardziej nadużywane słowo na świecie.

– Nie masz prawa odmawiać wartości moim uczuciom! Jestem dorosła. Nie ma nic sentymentalnego w tym, co do ciebie czuję.

– Więc wybrałaś niewłaściwego faceta – odparł.

Cofnęła się jeszcze o krok, rozcierając rękę w miejscu, gdzie ją złapał.

– Chcesz do końca życia zostać sam, Bryce? Myślisz, że twojej matce by się to podobało? Ona wciąż potrafiła tańczyć, choć żyła w piekle. Miała więcej charakteru od ciebie!

- Nie będę tego słuchał – warknął z furją.
 - Nie porzuciła cię, Bryce. Kochała cię.
 - Przez trzydzieści dwa lata o tym nie wiedziałem.
- Jenessa ciągnęła nieustępliwie:

– Nigdy mi nie powiedziałaś, co się z tobą działo, zanim spotkałeś Trávisa.

– Rodzina zastępcza numer jeden: karmili mnie popcornem i frytkami, a pieniądze z opieki zabierali sobie. W rodzinie zastępczej numer dwa przez rok trójka starszych chłopaków każdego dnia spuszczała mi manto. Uciekłem. Potem złapali mnie na kradzieży i posłali do poprawczaka. Uciekłem. Na koniec umieścili mnie w jakimś w miarę porządnym domu, chociaż wtedy już, oczywiście, nie ufałem nikomu. Ale zacząłem regularnie chodzić do szkoły, a resztę znasz: komputery, stypendium, przyjaźń z Travisem.

– Więc Travis naprawdę uratował ci życie – szepnęła z oczyma pełnymi łez.

- Przestań się nade mną litować.
- Przestań upraszczać moje uczucia!

Czując podziw dla jej nieustraszonego uporu, powiedział łagodniej:

– Pasuję, Jenesso. Muszę przez jakiś czas pobyc sam i przemyśleć, co się ze mną dzieje.

- Czemu nie zrobisz tego ze mną?
- Bo mnie kochasz – wyjaśnił z brutalną szczerością.
- Więc to wszystko moja wina?
- Ostrzegalem.

– Więc sama wpadłam w pułapkę? – Zwiesiła ramiona. – Jeśli powiem, że nie będę na ciebie czekać, dowiodę tego, w co już wierzysz: że miłość nie istnieje. A jeśli

zgodzę się czekać, zrezygnuję z siebie do czasu, gdy ty się zdecydujesz.

Używała jego własnych słów przeciw niemu.

– Żałuję, że obejrzałem tamten obraz – rzucił z furją.

Jenessa splotła ramiona na piersi.

– Nie uda ci się zawsze uciekać przed prawdą.

– Twoją wersją prawdy – warknął.

Kiedy tu jechał, wyobrażał sobie spokojną, racjonalną dyskusję, w której wyjaśnia, czemu musi odejść. Jeśli w ogóle wyobrażał sobie reakcję Jenessy, widział ją, jak spokojnie się zgadza. Jej zachowanie doprowadzało go do pasji.

– Nie kończę naszego związku – powtórzył, starając się mówić bez emocji. – W przyszłym tygodniu lecę do Paryża i Hamburga, ale w weekend się odezwę.

Był czwartek. Więc przez dziewięć dni nie będzie wiedziała, co ją czeka. Potrząsnęła głową.

– Nie zamierzam tkwić przy telefonie cały weekend.

– Zawsze chcesz mieć ostatnie słowo?

– Tylko tyle mogę dostać, tak, Bryce? – powiedziała cicho. – Ale ja nie chcę ostatniego słowa. Chcę ciebie.

Ostatkiem sił powstrzymał się, by jej nie wziąć w ramiona i nie zacząć całować. Wiedział jednak, że zabiłaby go, gdyby tego spróbował, więc powiedział tylko:

– Pogadamy, jak wrócę. Cześć.

Obrócił się na pięcie i wyszedł. Zbiegł po stopniach i szybko ruszył w stronę auta. Przed kim uciekał? Przed Jenessą czy samym sobą?

Kiedy została sama, zacisnęła pięści. Nie będzie płakać, nie będzie.

Jak śmiał jej wmawiać, że się w nim zadurzyła niczym nastolatka? Zatrzasnął się w przeszłości, zdecydowany wiecznie postępować według tych samych schematów. Nie mogła tego zmienić. A on nie chciał.

Niezgrabnymi ze zdenerwowania ruchami zrobiła sobie kanapkę z serem, potem zjadła i poszła do pracowni. Bezceremonialnie rzuciła na podłogę płótno, które było przyczyną całej awantury, i znowu sięgnęła po szkicownik. Musiała jakoś ukoić chaos panujący w jej sercu. Czuła się nie tylko wściekła, lecz i głęboko zraniona. Bryce ją zostawił.

Czy wróci? Czy też wykorzysta sposobność, żeby zakończyć ich związek? Skupiła się na przerażeniu i zaczęła rysować, potem wykonała próbny szkic olejny na niewielkiej desce. Tłumiąc łzy, zgasiła światło i położyła się do łóżka.

Spała źle, budząc się co chwila z koszmarów. Rano zmusiła się, żeby coś zjeść, i znowu poszła do pracowni. Przez pięć godzin malowała jak w transie, aż intuicja podpowiedziała jej, że zrobiła wszystko, co mogła. Cofnęła się i spojrzała na efekt swoich wysiłków.

Obraz mówił o przemijalności – miłości, szczęścia, samego życia.

Z bolącymi plecami umyła pędzle i rzuciła się na łóżko. Wtuliła twarz w poduszkę i szlochała długi czas z samotności głębszej, niż zaznała w całym dotychczasowym życiu.

Bryce pokazał jej, co znaczy intymność i zaufanie, a potem zabrał jedno i drugie. Czemu była tak głupia, że się w nim zakochała?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Minęła północ. Bryce kolejną noc nie mógł zasnąć w luksusowym hotelowym pokoju i krążył po pustych ulicach Paryża. W Hamburgu było tak samo. Interesy szły dobrze, jednak kiedy tylko kończył pracę, zaczynał się koszmar.

Nadal nie miał pojęcia, co powiedzieć Jenessie, gdy do niej zadzwoni. Że tęskni do niej dniem i nocą i przeraża go siła uczuć, jakie do niej czuje? Że czuje się uwięziony w swojej przeszłości?

Nie może trzymać jej w niepewności w nieskończoność. Następny krok należy do niego. Mimo panującego w jego duszy zamętu wiedział, że ta decyzja wpłynie na resztę jego życia.

Wiatr zmierzwił mu włosy. Bryce minął róg i zobaczył scenę jakby zatrzymaną w czasie: dwóch mężczyzn w kominiarkach zamierzało się na skuloną kobietę.

Rzucił się w ich stronę. Żyjąc na ulicach Bostonu, nauczył się skutecznie walczyć. W chwili gdy jeden z mężczyzn sięgnął po torebkę ofiary, a drugi zamachnął się na nią, Bryce krzyknął głośno, pchnął pierwszego z napastników na bruk i rzucił się z pięściami na drugiego. Kątem oka zauważył, że pierwszy podnosi się chwiejnie, i unieszkodliwił go celnym kopnięciem. Jego kumpel zerwał się do ucieczki; pierwszy z mężczyzn odczołgał się jęcząc, podniósł z wysiłkiem i także zniknął w ciemności.

Ciężko dysząc, przyjrzał się kobiecie. Miała około czterdziestu lat, była elegancko ubrana i wyraźnie przerażona.

– Nie słyszałam nawet, jak się zbliżali – wyjaśniła drżącym głosem. – Jak mam panu dziękować?

– Proszę pozwolić, że panią odprowadzę – odparł. – A dziękować nie ma za co, to była przyjemność.

To prawda, uświadomił sobie. Starcie z łajdakami było dokładnie tym, czego potrzebował. Pograżony w myślach, odprowadził kobietę do jej hotelu, a potem wrócił do siebie. Opadł na skórzany fotel i objął głowę dłońmi. Jako mały chłopiec nie zdołał kiedyś obronić matki; pokonując dzisiaj rabusiów, w jakiś sposób naprawił tamtą porażkę. Matka nie miałaby mu za złe, że jej nie ochronił: kochała go. Pierwszy raz od trzydziestu dwóch lat Bryce pozwolił sobie poczuć tę miłość. Rozwinęła się niczym kwiat, wypełniając jego serce.

Zdał sobie sprawę, że po twarzy płyną mu łzy; trudne łzy mężczyzny, który bardzo wcześnie nauczył się nie płakać. Długo siedział skulony, szlochając z rozpacz, którą tłumił przez wiele długich lat. Potem wyczerpany padł na łóżko.

Rano zaspał, bo zapomniał nastawić budzik. Mięśnie bolały go, jakby całą noc pracował w kopalni. Szybko wziął prysznic i uporał się z porannymi obowiązkami. Na lotnisku zjawił się pięć minut przed odlotem.

Większą część drogi przespał. Boston smażył się w popołudniowym słońcu; Bryce wbiegł po stopniach do domu, rzucił torbę podróżną przy drzwiach i wystukał

numer Jenessy. Długą chwilę odzywał się sygnał, potem włączyła się sekretarka.

Obiecał, że zadzwoni w weekend. Był dopiero piątek. Cisnął słuchawkę; nie chciał zostawiać żadnej wiadomości, chciał z nią porozmawiać – chociaż nadal nie miał pojęcia, co jej powie.

Potrzeba, by ją zobaczyć twarzą w twarz, płonęła w nim jak ogień. Przebrał się szybko w sportowe bawełniane spodnie i koszulkę polo, chwycił kluczyki od auta.

Do Wellspring dojechał w rekordowym czasie; gdy jednak wszedł do ogrodu pełnego kwitnących dali i malw, nie zastał tam Jenessy. Zastukał do kuchennych drzwi, lecz nie usłyszał odpowiedzi. Drzwi były jak zwykle otwarte.

– Jenessa? – zawołał. – To ja, Bryce, jesteś w domu?

Odpowiedziała mu cisza. Może pojechała do Bostonu, do Charlesa i Corinne. Albo do Nowego Jorku do Leonory. Zajrzał do kuchni i z ulgą zobaczył na stole kubek kawy i pęk szpinaku. Jak to możliwe, by garść wędzącego zielska potrafiła go wprowadzić w doskonały nastrój?

Rozejrzał się wokół. Bezpretensjonalny wiejski dom otoczony kwiatami i pachnący farbami. Dom kobiety, której odwadze i szczerości nauczył się ufać bezgranicznie; twórczej, namiętnej i uczciwej. Kobiety, na którą czekał całe życie. Którą kochał.

O szybę obijała się z brzęczeniem mucha, lecz Bryce prawie jej nie słyszał. Musiał opuścić Jenessę, pojechać na drugi koniec świata i uratować od niebezpieczeństwa nieznaną kobietę, by się uwolnić od przeszłości. By się stworzyć na przyszłość.

Powie jej, że ją kocha, gdy tylko ją zobaczy.

Nie mogąc się jej doczekać, znowu wyszedł na zewnątrz, przeszedł się po pustym ogrodzie, w końcu ruszył przed siebie uliczką. Po chwili usłyszał wysokie dziecięce głosy. Zaciekawiony poszedł w kierunku starego domu w stylu kolonialnym, otoczonego zaniedbanym ogrodem. Pod jabłonią ustawiono stół z kolorową zastawą. Za domem grupa dziewcząt i chłopców grała w piłkę nożną. Nagle serce podskoczyło mu w piersi: wśród grających zauważył Jenesę.

Miała na sobie szorty i T-shirt. Biegała wśród dzieci roześmiana, pilnując, by żadne nie zostało wykluczone z gry. Bryce poczuł, że zakochał się w niej jeszcze odrobinę mocniej. Jak mógłby jej nie kochać? Hojna, utalentowana, uparta i namiętna; życzliwa i skłonna do zabawy, otwarta na zmiany: kochał ją zapewne od dnia, kiedy przyjechał ją namówić na udział w chrzcinach. A jeśli miał być szczery, od tamtej nocy, kiedy miała siedemnaście lat.

Otworzył furtkę i ruszył w jej kierunku. Nie widziała go. Pochłonięta zabawą, potknęła się nagle o kępę trawy i przewróciła na ziemię. Jednym skokiem znalazł się tuż przy niej.

– Kochanie – zawołał zaniepokojony – wszystko w porządku?

– Jak mnie nazwałś? – wyjąkała.

Policzki miała zaróżowione z wysiłku, piersi falowały pod cienkim materiałem.

– Wyjdiesz za mnie? – spytał schrypniętym głosem.

Piłka uderzyła ją w ramię. Dwaj mali chłopcy przybiegli w ślad za nią, jeden zawołał zdyszany:

– Przepraszam, Jen.

Popatrzyła na Bryce'a.

– Jesteś najmniej romantycznym z ludzi – odparła słabo. – Słyszałeś o czymś takim jak świece i dźwięki skrzypiec?

– Jeśli za mnie wyjdiesz, rozpalę wielkie ognisko i najmę całą orkiestrę – odparł Bryce i dalej czekał na odpowiedź.

Gardło miał ściśnięte i serce waliło mu jak oszalałe.

– Czy ja śnię? – spytała podejrzliwie.

– Nie – zapewnił, stawiając ją na nogi. – Nie zasługuję na ciebie, zachowywałem się jak beznadziejny idiota, ale kocham cię całym sercem. Dzisiaj, jutro i zawsze. Wyjdź za mnie, Jenesso. Proszę.

Uszczypnęła go w ramię.

– Wydajesz się rzeczywisty. Ale gdybyś mnie pocałował, wiedziałabym na pewno.

Nie zwracając uwagi na chóralne okrzyki, świadczące że właśnie zdobyto gola, schylił się i pocałował ją z całą nowo odkrytą miłością. Jenessa z ustami przy jego wargach wymamrotała:

– Tak.

– Co „tak”?

Spojrzała na niego rozpromieniona.

– Tak, jesteś rzeczywisty. Tak, wyjdę za ciebie. Choć przeżyłam przez ciebie najgorszych dziesięć dni w życiu.

– Przepraszam.

Objął ją i opowiedział o przygodzie w Paryżu.

– Po powrocie do hotelu uświadomiłem sobie dwie rzeczy: żal, który tłumiliem przez lata, i miłość mojej matki. To mnie wyzwoliło; nie potrafię inaczej tego

opisać. Przyjechałem prosto tutaj i kiedy zobaczyłem szpinak na stole, już wiedziałem. Po prostu wiedziałem.

– Szpinak?

– Tak, szpinak... nie pytaj. – Uśmiechnął się. – Więc zacząłem cię szukać, i jak cię zobaczyłem grającą w piłkę – nawiasem mówiąc, łamiecie wszystkie możliwe reguły – wiedziałem, co jest najważniejsze, i poprosiłem cię o rękę.

– Nie całkiem rozumiem, co ma do tego szpinak, ale końcowy efekt bardzo mi odpowiada – stwierdziła. – Naprawdę chcesz się ze mną ożenić i mieć dzieci? Nie boisz się, że nie będziesz dobrym ojcem?

Również ta decyzja została już podjęta, chociaż za skarby świata nie potrafiłby tego wyjaśnić; wiedział jedynie, że obawy zniknęły.

– Tak – odparł odważnie. – Może nawet dwójkę.

Trzy minuty później brali oboje żywy udział w grze, co miało jak najgorsze konsekwencje dla czystego ubrania Bryce'a. Uświadomił sobie, że świetnie się bawi; grywał w piłkę jeszcze w szkolnych czasach i przekonał się, że nie stracił dawnej wprawy.

Od autu rozległ się gwizd i kobiecy głos zawołał:

– Przerwa na hot dogi!

Gracze rozbiegli się w mgnieniu oka. Jenessa uśmiechnęła się do Bryce'a.

– Poznaj moją przyjaciółkę Susan. Jej syn Maks ma dzisiaj urodziny.

Po czym wzięła go za rękę i zwróciła się do sympatycznej brunetki:

– Przedstawiam ci mojego narzeczonego Bryce'a Laribee.

– Narzeczonego? Od jak dawna?

– Od jakichś pięciu minut – roześmiał się Bryce.

Zaofiarował się, że zajmie się grillem, i już po chwili rozdawał na prawo i lewo gotowe hot dogi. Wymknął się tylko na chwilę, żeby w tajemnicy zadzwonić do miejscowej kwiaciarni, po czym wraz ze wszystkimi rzucił się na lody i tort.

Godzinę później Bryce i Jenessa wracali do domu. Na gołych nogach Jen miała ślady trawy i błota, włosy rozczochrane – a mimo to wydawała mu się piękna jak nigdy dotąd. Kiedy minęli róg i ich oczom ukazał się dom, stanęła jak wryta, po czym wybuchnęła śmiechem.

Cały ogród był obwieszony balonikami z wielkim napisem „Kocham cię”. Purpurowe, czerwone, białe, niebieskie, zielone i pomarańczowe, kołysały się na lekkim wietrze.

– Wspaniały prezent dla malarki – stwierdziła. – Te wszystkie kolory... A wydawało mi się, że nie jesteś romantyczny.

– Jak tylko znajdziemy się w środku, pokażę ci, na ile romantyzmu mnie stać – obiecał.

Parę godzin później, gdy kochali się w jej małej sypialni, Bryce pocałował ją w czubek nosa i mruknął:

– A może by zawiadomić rodzinę? Moglibyśmy się pobrać przed wyjazdem Travisa i Julie... Nie masz nic przeciwko temu, żeby się przenieść do Bostonu?

– Nie, pod warunkiem, że zachowam ten domek – odparła. – Może moglibyśmy wziąć ślub tutaj, w Well-spring?

– Co tylko sobie życzysz.

Zadzwonili do Charlesa.

– Ślub? – ucieszył się, słysząc wielką nowinę.
– Z Bryce'em? Moje gratulacje, Jenesso! To szczęśliwy wybór. Ogromnie się cieszę. À propos, Travis i Julie są u mnie, chcesz z nimi porozmawiać?

Kiedy odezwał się Travis, Jenessa niemal mogła zobaczyć uśmiech na jego twarzy.

– Ślub? To najlepsza wiadomość dzisiejszego dnia. Zastanawiałem się, czy między wami coś zaiskrzy.

– Więc celowo nas zaprosiłeś na chrzestnych? – spytała Jenessa.

– Nawet jeśli tak, nigdy się nie przyznam.

– Taka jestem szczęśliwa, że chyba ci wybaczę. Po ślubie odwiedzimy was w Meksyku.

– I zajmiecie się Samantha. Praktyka ci się przyda.

Jenessa oblała się rumieńcem. Bryce wziął słuchawkę.

– Nie poganiaj nas, Travis. Jeszcze nie przywykłem do myśli, że będzie nas dwoje.

– Na moim ślubie twierdziłeś, że jeszcze się nie urodziła taka kobieta, która by cię zaprowadziła do ołtarza.

– O ile pamiętam, ty mówiłeś to samo, zanim poznałeś Julie – brzmiała odpowiedź.

– Więc obaj mamy szczęście, że się myliliśmy.

Jak można się było z tym nie zgodzić?
